tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 5 (1156) ROK XXIII 3 LUTEGO 1980 R. CENA 3 ZŁ

W NUMERZE:

Człowiek, który nie był w mieście Ulm ■ Benzynowy serial ■ Moja ukochana żoneczka — mój dobry mąż ■ Nasz satelita ■ Literatura ■ Recenzje ■ Felietony ■ Nowy Magazynek — 1\3!

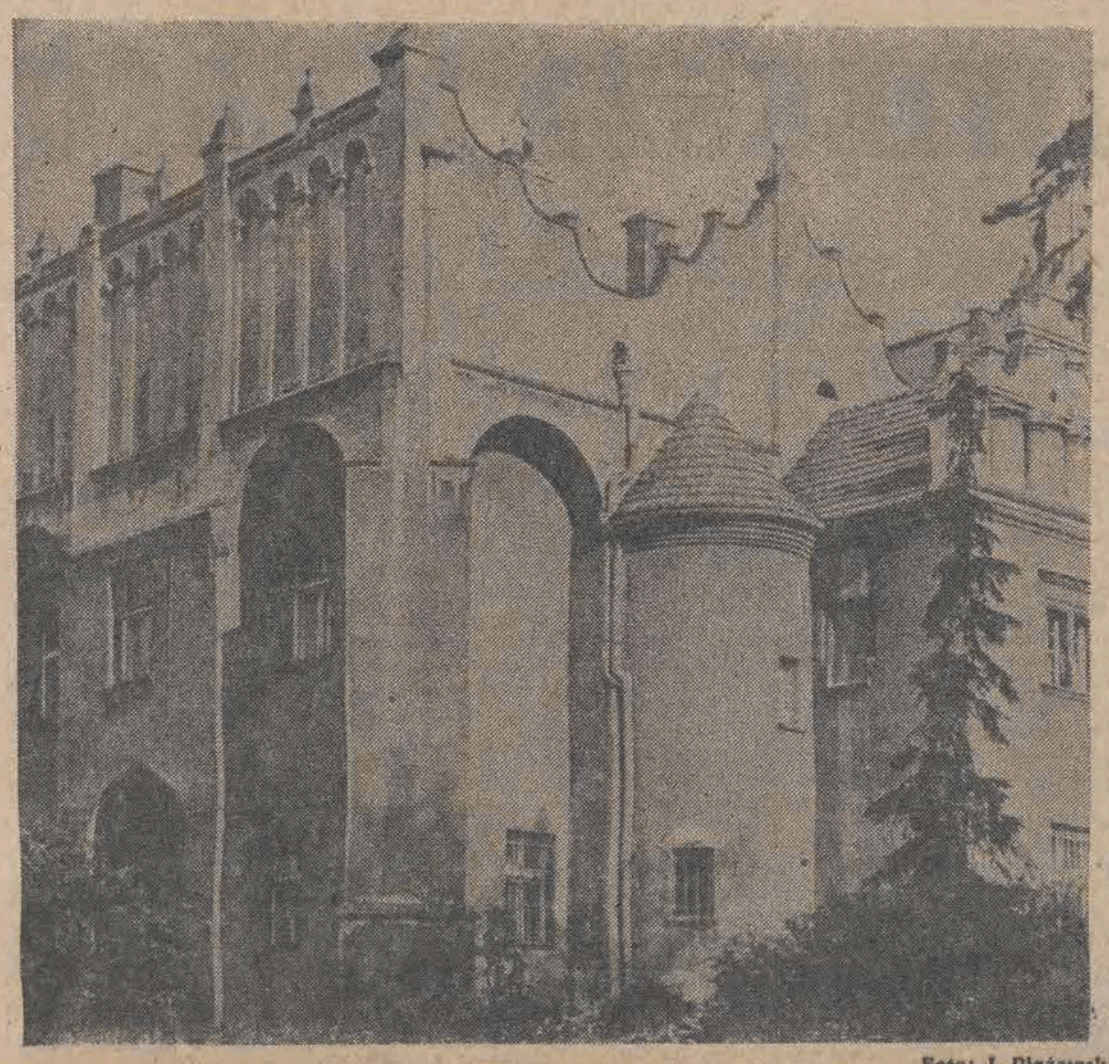

Foto: J. Płażewski

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

DALEKO I BLISKO

Z Łodzi do Pabianic jest 15 km. Niedaleko. Można tam pojechać pociągiem, autobusem PKS, tramwajem. Pociąg z Łodzi Kaliskiej do Pabianic jedzie 16 minut. Tramwaj nr 41 z placu Niepodległości do Pabianic jedzie 50 minut. Większość dojeżdżających wybiera jednak tramwaj. Z Łodzi do Pabianic i z Pabianic do Łodzi sporo ludzi jeździ do pracy. Z Pabianic młodzież jeździ do Łodzi do szkoły, na zajęcia w wyższych uczelniach. Z Pabianic do Łodzi jest blisko. Z Łodzi do Pabianic również, choć niekiedy odległość ta może się wydawać dłuższa niż jest w rzeczywistości.

Kiedyś Pabianice były największym miastem województwa łódzkiego, które nie miało swojej stolicy. Dziś są drugim miastem województwa miejskiego łódzkiego, drugim po Łodzi. Można pomyśleć, że są „sypialnią Wielkiej Łodzi", a tak przecież nie jest.

— *My tu w Pabianicach* — mówi I sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR, Danuta Mikołajczyk — *mówimy „moje miasto", „nasze miasto" i to nie jest wcale pusty zwrot. Bierze się on z zaangażowania w sprawy pabianickie, wynika z autentyczności naszego tu życia. I tak mówią ludzie niezależnie od tego, gdzie mieszkają i pracują. Bo jest przecież tak, że ktoś mieszka w Łodzi, ale żyje i działa w Pabianicach i bywa odwrotnie, że ktoś pracuje w Łodzi, ale wraca tu nie tylko do swego miejsca zamieszkania, ale do życia i spraw, które są mu i nam bliskie. Na przykład prezes Towarzystwa Przyjaciół Pabianic pracuje w Łodzi. W łódz-*

Dalszy ciąg na str. 5

MAŁGORZATA GOLICKA

MGR KOWALSKI IDZIE DO PRACY

Wyczerpawszy wszystkie możliwości przedłużenia studiów, pamiętając z Konstytucji, iż **„praca jest prawem, obowiązkiem i sprawą honoru każdego obywatela"** oraz z życia: **„czy się stoi czy się leży..."** młody magister Jan Kowalski, uzbrojony w dyplom i uczelnianą wiedzę, wyrusza do swojej pierwszej pracy. Byłoby przesadą twierdzić, że biegnie do niej w podskokach.

Po latach nakazów pracy i latach zatrudnienia „na żywioł", ustawą z dnia 15 lutego 1964 r. wprowadzono planowe zatrudnienie absolwentów szkół wyższych. Wyszły bowiem na jaw rażące dysproporcje. Podczas gdy w dużych miastach absolwenci uczelni podwyższali statystyki zatrudnionych z wyższym wykształceniem, w małych ośrodkach i na wsiach o magistra czy inżyniera było nieomal tak trudno jak o mięso bez kolejki.

Dalszy ciąg na str. 3

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

TALLIN DA SIĘ LUBIĆ

Stoimy na szczycie ogromnego amfiteatru, grudniowy wiatr podcina nogi, na morzu jak okiem sięgnąć — pusto. To tu parę lat temu odbył się stuletni jubileusz Święta Pieśni, obchodzonego w Estonii co pięć lat. Zgromadził na widowni, położonej w pięknie ukształtowanym terenie, ponad trzysta tysięcy słuchaczy. Co trzeci Estończyk uczestniczył w święcie, słuchając chóru, złożonego z trzydziestu tysięcy głosów. Trudno sobie taki chór wyobrazić nam, którzy mamy trudności w zgraniu poczciwego, pięcioosobowego chórku na akademię ku czci.

W opowiadaniu E. Hemingwaya „Mieć i nie mieć" znajdujemy takie słowa: „Żaden porządniejszy basen jachtowy na morzach południowych nie byłby kompletny bez co najmniej dwóch opalonych na brąz Estończyków o włosach wyblakłych od morskiej soli, którzy czekają na przekaz pieniężny za swój ostatni felieton. Gdy otrzymają pieniądze, płyną do następnego basenu jachtowego i piszą następny felieton." Estończycy bowiem to naród wodniaków (właśnie tu powstał przed półtora wiekiem pierwszy na świecie Jachtklub — „Zakon Dzielnych Żeglarzy"), a także naród ludzi piszących i ogromnie dużo czytających. Jest ich niespełna milion, a estoński związek pisarzy liczy stu siedemdziesięciu członków; książki w języku estońskim wychodzą średnio w 20—30 tysiącach egzemplarzy, książeczki dla dzieci osiągają sto tysięcy. W pięknej serii „Bajki stu narodów" znajdujemy też tomik polski, przetłumaczony przez zasłużonego dla naszej literatury i kultury pana Kurtnę, rodowitego Tallińczyka, mówiącego po polsku jak my wszyscy. Pan Kurtna, świetnie zorientowany w naszej bieżącej produkcji literackiej, tłumaczył już Brezę i Andrzejewskiego, Natalię Roleczek i Sławomira Mrożka, Różewicza, Dąbrowską i wielu innych. Książki — zarówno oryginalne, jak i przekłady — wychodzą tu w pięknej szacie graficznej, jakiej nasze oficyny mogą pozazdrościć, na dobrym papierze, ze świetnymi, zwłaszcza te dziecięce — ilustracjami.

W tym roku cały Tallin żyje zbliżającą się olimpiadą, której część —

Dalszy ciąg na str. 8

Od wielu już lat (choć nie chce się wierzyć w ich ilość) Delfina Ambroziak króluje na łódzkiej scenie operowej. Jest jej prawdziwą gwiazdą, która swoim głosem, kulturą wokalną, urodą i znakomitym aktorstwem dodaje blasku wielu inscenizacjom dzieł operowych prezentowanych na scenie Teatru Wielkiego. Cieszy się przy tym — co u nas w przypadku artystów operowych jest już dosyć rzadkie — niezwykłą sympatią publiczności, która, gdy tylko przez kilka tygodni nie słyszy swojej ulubienicy, domaga się jej występu, by równie serdecznie oklaskiwać „swoją" Delfinę Ambroziak zarówno na scenie Teatru Wielkiego, jak i na estradzie Filharmonii. Podziwialiśmy ją jako Violettę w „Traviacie", Małgorzatę w „Fauście", Liu w „Turandot" Mimi w „Cyganerii", Micaelę w „Carmen", Fiordiligi w „Cosi fan tutte', Gildę w „Rigoletcie", Lakme, Hannę w „Strasznym dworze", Juliettę w operze Martinu, Anusię w „Wolnym strzelcu" i Bronię w „Hrabinie".

MOJA NAJWIĘKSZA MIŁOŚĆ

Rozmowa z DELFINĄ AMBROZIAK

Delfina Ambroziak ma w swoim repertuarze ponad trzydzieści partii operowych. Jej wielką sztukę znają wszyscy melomani w Polsce, a mówiąc o wielbicielach talentu tej artystki, nie można nie wspomnieć o licznych ich rzeszach gromadzących się w teatrach i salach koncertowych podczas występów naszej primadonny za granicą. Delfiny Ambroziak przedstawiać nie trzeba. Znamy ją wszyscy i mnie samej ten wstęp wydaje się zbędny. Traktuję go jednak nie jako prezentację tej wybitnej artystyki, ale jako przypomnienie jej wielkich dla naszej kultury muzycznej zasług. „Odgłosy" każdą kolejną kreację Definy Ambroziak witały z entuzjazmem, nasi czytelnicy przyznali jej kiedyś tytuł „Łodzianki Roku". Do licznych nagród zgromadzonych już przez panią Delfinę przybyła niedawno kolejna, niezwykle cenna, Nagroda Miasta Łodzi. Gratulujemy. Z całego serca.

Dalszy ciąg na str. 2

moja ukochana żoneczka — mój dobry mąż

Zbigniew Wojciechowski

Sobota. Późne, chłodne, jesienne popołudnie 1978 roku. Naparzyłem herbatę, zapaliłem papierosa, ułożyłem się w fotelu i przeglądam tygodniki. Raz w tygodniu stać mnie na taki luksus. W piątek albo sobotę. Żona wie, że wtedy nie należy mi przeszkadzać, gdyż jest to czas przeznaczony na czytanie prasy.

Tego dnia całotygodniową lekturę zakłócił dźwięk trąbki. Z początku myślałem, że to syn sąsiadów, który po przyjściu ze szkoły grywa na gitarze, próbuje teraz się na nowym instrumencie. Ale metaliczny dźwięk był zbyt intensywny, czysty, jasny.

Odłożyłem gazetę, wygrzebałem się w fotela i wyszedłem na balkon. W oknach zobaczyłem sąsiadów, tak samo jak i ja zaciekawionych. Spoglądali w dół na plac między blokami, gdzie pośrodku stał w czarnym, przechodzonym płaszczu i w takiej samej ciemnej narciarskiej

Dalszy ciąg na str. 6—7

ADAM LEWASZKIEWICZ

BENZYNOWY SERIAL

Właściwie dopiero dziś po rozprawie sądowej — można ocenić z jak niebezpiecznym, przebiegłym, a zarazem bezczelnym i wyrachowanym przestępcą przyszło zmagać się ludziom odpowiedzialnym za bezpieczeństwo miasta i jego mieszkańców.

Przyjaciel Sherlocka Holmesa — przypadek

Sprawa zaczęła się jak wiele podobnych — od przypadku. Na początku 1979 roku jedna z pracownic Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego Przemysłu Maszynowego „Budomasz" przeglądając rachunki dostarczone przez operatorów ciężkiego sprzętu, spostrzegła na jednym z dokumentów niewielką, kilkuzłotową pomyłkę w obliczeniu. Księgowa chciała się skontaktować z kierownikiem stacji benzynowej i poprosić go o poprawienie rachunku. Ponieważ w książce telefonicznej nie mogła znaleźć stacji o podanym na rachunku numerze — zadzwoniła do łódzkiej dyrekcji CPN, prosząc o podanie telefonu lub adresu. W dyrekcji poinformowano ją, ku jej zaskoczeniu, że stacji o podanym numerze nie ma w Łodzi. Sprawa wydała się podejrzana, gdyż w księgowości złożono kilka rachunków opatrzonych pieczątką z numerem tej nie istniejącej stacji. Zawiadomiono milicję. Organa ścigania uchwyciły koniec nitki.

Gang

Po niewielu dniach dochodzenia było już kilkunastu podejrzanych o dostarczanie przedsiębiorstwu „Budomasz" doskonale fałszowanych rachunków za paliwo, na podstawie których wyłudzali pieniądze z kasy przedsiębiorstwa. Dochodzenie, a następnie śledztwo, zmierzało do ustalenia wysokości nadużyć oraz wykrycia osoby lub osób sporządzających fałszywe rachunki, ujawnienia źródła pochodzenia oryginalnych druków.

Sprawa rozrastała się, ujawniano wciąż nowe benzynowe kanty. Np. były ajent łódzkiej stacji benzynowej nr 9 na ul. Strykowskiej, a następnie stacji przy ul. Kilińskiego nr 200, zeznał w trakcie dochodzenia:

Pracując (...) jako agent na tzw. kasie, raz w tygodniu byłem prowadzącym stację i przyjmowałem należność za paliwo od kierowców.

Dalszy ciąg na str. 6—7

LAUREACI NAGRÓD M. ŁODZI

MOJA NAJWIĘKSZA MIŁOŚĆ

„Jako reprezentantka polskiej kultury czuję się na zagranicznych scenach znacznie pewniej, niż gdybym miała występować tylko jako „ja".
Foto: R. Łucyszyn

Dalszy ciąg ze str. 1

— Nagrodę tę cenię sobie bardzo wysoko. Ma ona dla mnie szczególne znaczenie, jest bowiem nagrodą miasta. Fakt, że ją otrzymałam, niemal zupełnie mnie oszołomił. Traktuję ją jako potwierdzenie słuszności drogi, którą kiedyś wybrałam. Dziś mogę powiedzieć, że moment dokonywania tego wyboru, wyboru miasta i co za tym idzie sposobu artystycznego istnienia był dla mnie trudny. Wtedy nie w i e d z i a ł a m, że robię dobrze, wtedy mogłam to zaledwie p r z e c z u w a ć. Dziś wiem, że dobrze się stało, iż zaufałam intuicji i uczuciom.

— Czy prośba o sprecyzowanie tej myśli nie będzie zbyt natrętna?

— Nie, wiem, że zrobiłam dobrze i mogę o tym mówić. Uczynię to zresztą tym chętniej, że właśnie ta nagroda, którą z rąk naszych władz otrzymałam przed kilkoma dniami, utwierdziła mnie po latach w przekonaniu, przy którym trwałam od początku tego, co państwo nazywacie karierą artystyczną, a ja pracą.

— Nie lubi pani słowa kariera?

— Nie, chyba nie. Podobnie jak nie lubię słowa „gwiazda". Te słowa nic nie znaczą. Kryje się w nich coś być może szalenie efektownego, ale bardzo łatwego, a przez to nietrwałego. A tak naprawdę mało kto wie, ile pracy, ile trudu i wyrzeczeń wymaga nasza praca. Jeden błyskotliwy i tak właśnie oceniany przez publiczność i krytykę efekt, to całe nieraz miesiące trudu. „Kariery" i „gwiazdy" trwają krótko, w pamięci widzów i słuchaczy zostają tylko znaczone prawdziwymi osiągnięciami artystyczne drogi i artystyczne indywidualności. Wolę zatem te pojęcia. Jeśli można wybierać.

— A właśnie miałyśmy mówić o wyborze. Czy możemy wrócić do tego tematu?

— Pierwsza nagroda, którą jako debiutująca niemal śpiewaczka zdobyłam swego czasu na Międzynarodowym Konkursie Wokalnym w Monachium, pociągnęła za sobą wiele ciekawych propozycji od impresariów zagranicznych. Stały angaż proponował mi między innymi dyrektor Opery w San Francisco. Przyzna pani, że dla zupełnie wtedy młodej osoby, mogła to być propozycja nader atrakcyjna. Wielki świat, a w nim być może równie wielkie sukcesy. Wyobraźnia podsuwała wspaniałe obrazy. Kuszące? Być może, choć przyznam, że ten wielki świat bardzo mnie przerażał. Czyni to zresztą do dzisiaj, choć wiele podróżuję i powinnam być z nim całkiem oswojona. Wielki świat przerażał, a w Łodzi czekał znany teatr, wspaniali koledzy, troskliwi pedagodzy, życzliwa, „moja" publiczność, ale przede wszystkim własny dom, własna, „tylko moja" mama i Jacek, mój mały wtedy syn. Oni byli najważniejsi, czekali. A ja miałam jedno największe marzenie: w ciepłym, spokojnym, pogodnym, normalnym domu wychować syna na prawego człowieka. Nie zastanawiałam się nawet przez chwilę. Tu nie mogło być mowy o konieczności wybierania, sprawa była przecież oczywista. Najważniejszy jest dom. Wróciłam. Dzięki temu, że ten dom był, że czekał na mnie ze swoim ciepłem i potrzebą mojej bliskości ten „pierwszy mężczyzna mego życia", wybór przestał być trudny. Dokonałam go bardzo szybko. I nie żałuję.

Mój syn jest dziś studentem Politechniki Warszawskiej, a ja zrealizowałam wszystkie swoje plany artystyczne. Zaśpiewałam wszystkie partie operowe, o których może marzyć śpiewaczka. Wykonywałam je na wielu scenach świata, na obydwu półkulach, ale przede wszystkim w Polsce. Jako reprezentantka polskiej kultury czuję się na zagranicznych scenach znacznie pewniej niż gdybym miała występować tylko jako „ja". Stoi za mną jej ogrom i wartość, a oklaski, które zbieram są, w głównej chyba mierze, dowodami uznania dla niej właśnie. Cieszę się przywożąc je do kraju, do swojego domu, do swojego miasta.

— Podróżuje pani niezwykle często i bardzo daleko. Jednocześnie bliski jest pani jej dom i widzę — rozmawiamy w przytulnym i bardzo „domowym" mieszkaniu artystki — że tu czuje się pani najlepiej, najpewniej. Jak zatem godzi pani obowiązki matki i żony z tymi dalekimi wojażami?

— Po prostu nie ma w moim życiu niczego innego. Nic innego mnie nie absorbuje. Są tylko moi bliscy: syn, mąż — śpiewak Tadeusz Kopacki, który towarzyszy mi na drodze artystycznej i ja. Życie dało mi dwie rzeczy „na wyłączną własność". Mam tylko pracę i dom, ale ten ostatni jest najważniejszy. Gdyby przyszło mi wybierać między obowiązkami matki a o-

stem obsadzona. A że praca w operze daje mi największą przyjemność, więc i żal szybko znika.

— Wymienia pani operę jako ulubiony gatunek uprawianej przez siebie sztuki.

— Opera jest nim rzeczywiście. Może dlatego, że daje mi szersze możliwości prezentacji własnych umiejętności. Może dlatego, że w odróżnieniu od estrady koncertowej pozwala na kreowanie postaci... Jest przecież teatrem, daje więc dodatkowe, poza muzycznymi, przeżycia, a i pozwala na najpełniejszy rozwój.

— Opera wymaga także znacznych umiejętności aktorskich. U pani zdają się one osiągać miarę wysokiego poziomu aktorstwa dramatycznego.

— Niezwykle się cieszę, słysząc tak wysoką ocenę moich poczynań aktorskich. Do budowy postaci przykładam zawsze wielką wagę i ubojewam nad zbyt chyba szybkim i szkodliwym zwalnianiem nas przez publiczność i krytykę z tych umiejętności. Opera nie może być tylko koncertem, winna być moim zdaniem dobrym teatrem, by widz dał wiarę uczuciom i słowom, które wyrażamy w pozornie bardzo konwencjonalny sposób. Widz musi uwierzyć, że siła uczucia postaci, którą właśnie kreuję jest taka, że postać ta może je wyrazić tylko śpiewem. Moim więc obowiązkiem jest uczynić tę postać i jej uczucia po prostu prawdziwymi. Aktorstwa uczono mnie w Wyższej Szkole Muzycznej, ale przyznam, że z jego najgłębszymi tajnikami zetknęłam się dopiero w teatrze. Wprowadził mnie w te arkana Antoni Majak, znakomity śpiewak, pedagog i reżyser, zawdzięczam mu bardzo wiele i pozwoli pani, że skorzystam z okazji, by teraz właśnie tę wdzięczność wyrazić.

— Łódzcy melomani niezwykle cenią sobie spektakle z pani udziałem. Co nowego zaproponuje im pani w najbliższym czasie. Co przygotowuje pani w Teatrze Wielkim?

— Nic.

— W tej chwili bije pani rekord zwięzłości odpowiedzi.

— Istotnie, odpowiedź jest krótka. Ale prawdziwa. W najbliższych planach repertuarowych teatr nie przewiduje żadnej partii dla liryczno-koloraturowego sopranu. I to wszystko.

— Gdy poprosiłam panią o tę rozmowę, powiedziała mi pani, że jest bardzo zajęta. Nad czym więc pracuje pani obecnie?

— Przygotowuję partię Ewy w estradowej wersji „Raju utraconego" na czerwcowy festiwal Pendereckiego w Krakowie. Będę pierwszą polską wykonawczynią tej roli. Mam też w planach na najbliższe tygodnie cykl koncertów oratoryjnych.

— Muzykę oratoryjną uprawia pani niemal z równą pasją jak muzykę operową.

— Bo bardzo ją lubię. Mam w swoim repertuarze 53 pozycje kantatowo-oratoryjne. Śpiewam właściwie wszystko, od Monteverdiego do Pendereckiego. Szczególnie lubię Mozarta.

— Ale sięga też pani po muzykę kompozytorów współczesnych.

— Czynię to z ogromną i może nawet przesadną ostrożnością. Cenię ją wysoko, ale jest ona tak trudna, że aczkolwiek samo jej wykonanie nie sprawia mi kłopotów, to jednak troska o nienaganną formę wokalną w repertuarze będącym moim podstawowym zasobem, nakazuje mi tę ostrożność. Z przyjemnością śpiewam muzykę Pendereckiego, ale komponowane przez innych współczesnych twórców interwały sprawiają nieraz wrażenie, jak gdyby zapomnieli oni o ograniczonych bądź co bądź możliwościach ludzkiego głosu.

— Cała nasza rozmowa skupiła się wokół dwóch tematów: muzyki i domu. Gdybym jednak na jej zakończenie zapytała o dodatkowe zainteresowania. Jakieś artystyczne lub nieartystyczne hobby?

— Odpowiedziałabym, że go nie mam. Dziennikarze pytają mnie o to zawsze i kiedyś, by ich choć trochę w tym względzie zadowolić, bo przyjmowali moją odpowiedź z takim niedowierzaniem, że prawie zaczęłam się tego braku dodatkowych zainteresowań wstydzić, mówiłam, że pasjonuje mnie współczesne malarstwo. Wiem na jego temat sporo, bo jest to pasja mojego syna. Mogłam więc nawet sypać nazwiskami i mówić o tej sztuce z niejaką jej znajomością. Ale prawdę mówiąc wymyśliłam to sobie właśnie dla prasowych wywiadów. Moim wyłącznym hobby i całym moim życiem jest muzyka. Tylko ona liczy się naprawdę. Jest moją największą miłością. Cieszę się też z jej wzajemności. I bardzo jej za nią dziękuję.

— My zaś raz jeszcze gratulujemy Nagrody Miasta Łodzi, dziękujemy pani za interesującą rozmowę.

Rozmawiała: EWA PANKIEWICZ

AKTUALNOŚCI

KRONIKA KULTURALNA

Stojący na czele Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa, Przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński wystosował list do redakcji łódzkiego „Głosu Robotniczego" z serdecznym podziękowaniem „za wkład w dzieło odnowy zabytków Krakowa, w ratowanie bezcennych skarbów kultury narodowej". Jak już informowaliśmy, z inicjatywy „GR" zebrano ćwierć miliona złotych na ten cel.

Zainicjowany w Łodzi meczem piłkarskim Łódź — Kraków ruch społeczny zbierania środków na fundusz rewaloryzacji przynosi tymczasem dalsze efekty. Ostatnio do Krakowskiego Biura Rewaloryzacji wpłynęła z Łodzi deklaracja p. Edwarda Łukasiewicza — właściciela zakładu malarskiego, który zobowiązał się do udziału w pracach przy odnowie (wraz z 5 robotnikami).

Miejmy nadzieję, że za nim pójdą inni łódzcy rzemieślnicy i zakłady pracy, włączając się do ogólnopolskiej akcji czynów społecznych przy odnowie „perły polskich miast".

•

Ponad 1300 wykonawców: aktorów, muzyków, tancerzy, wokalistów, wystąpiło 19 stycznia br. w wielkim, uroczystym koncercie pt. „Ludzie kultury — swojemu miastu", zorganizowanym społecznym wysiłkiem łódzkich instytucji kulturalnych w Pałacu Sportowo-Widowiskowym. Na koncercie obecni byli m.in. I sekretarz KŁ PZPR — B. Koperski i prezydent m. Łodzi — J. Niewiadomski. Wśród wykonawców znaleźli się m.in. orkiestra Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi, orkiestra Teatru Wielkiego, chóry Filharmonii Łódzkiej, Teatru Wielkiego i ZNP w Zgierzu oraz chór dziecięcy pod dyr. H. Biachy, balet Teatru Wielkiego i połączone zespoły baletowe łódzkich zakładów pracy, harcerski zespół „Krajki" oraz soliści.

•

Z tej samej okazji w Muzeum Historii Miasta odbyło się uroczyste spotkanie przedstawicieli władz politycznych i administracyjnych WMŁ z liczną grupą przodowników pracy, reprezentantów najlepszych zakładów pracy.

Spotkanie to uświetnił program poetycko-muzyczny. „A nam podoba się Łódź", przygotowany przez studentów Wydziału Wokalno-Aktorskiego PWSM w Łodzi w oparciu o wiersze i piosenki twórców łódzkich.

Tego samego dnia w przeddzień rocznicy wyzwolenia Łodzi — uroczyście zamknięto kilkuletni cykl prac konserwatorskich przy odnowie stylowych wnętrz dawnego pofabrykanckiego pałacu Poznańskich, dziś — siedziby Muzeum Historii Miasta Łodzi. Na otwarcie odrestaurowanej wg projektu art. plastyka S. Cuchry-Cukrowskiego sali koncertowo-teatralnej przybyli m.in. I sekretarz KŁ PZPR B. Koperski i wiceprezydent m. Łodzi Z. Polit. W galowym koncercie wzięła udział Polska Orkiestra Kameralna pod batutą Jerzego Maksymiuka. Otwarto również wystawę jubileuszową łódzkiego malarza, wieloletniego rektora PWSSP Zdzisława Głowackiego. Zainaugurował też swoją działalność nowy „Teatr 0", działający w Muzeum Historii Miasta pod kier. Feriduna Erola.

W ramach obchodów 35 rocznicy wyzwolenia Łodzi otwarto także — w Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego — wystawę, na której zaprezentowano ok. 80 fotogramów ukazujących historię i współczesność miasta, wiele dokumentów, plakatów z okresu odbudowy, a także zbiór znaczków pocztowych z lat 1945—79, poświęconych rozwojowi PRL.

•

Dwie zasłużone dla łódzkiej kultury instytucje obchodziły w styczniu swoje jubileusze.

Dwadzieścia lat minęło od założenia Muzeum Historii Włókiennictwa, jedynej dziś i centralnej placówki tego typu w kraju. Z tej okazji dokonano uroczystego otwarcia dwóch wystaw: tkanin zabytkowych i współczesnej tkaniny artystycznej. Eksponaty wybrali: kustosz Halina Jurga i dyrektor muzeum — dr Adam Nahlik (pierwszym szefem placówki była — przypomnijmy — Krystyna Kondratiuk). Na jubileuszową uroczystość przybyli przedstawiciele władz miasta z sekretarzem KŁ PZPR Genowefą Adamczewską i wiceprezydentem — Zbigniewem Politem.

Natomiast 30-lecie istnienia obchodziła Państwowa Szkoła Muzyczna nr 1 w Łodzi. Wywodzi się ona z połączenia Niższej Szkoły Muzycznej i szkoły Ludowego Instytutu Muzycznego. Mieści się obecnie w zabytkowym pałacyku przy pl. Zwycięstwa, posiadając jednocześnie 4 filie na Bałutach, Teofilowie, Retkini i Dąbrowie oraz punkt nauczania na Widzewie. Uczniowie szkoły są laureatami wielu konkursów, a większość z nich stanowi — po ukończeniu studiów — trzon łódzkich zespołów muzycznych. W jubileuszowym koncercie, który odbył się w łódzkiej Filharmonii, wzięli udział — obok uczniów — znani dzisiaj w świecie muzycznym wychowankowie szkoły.

•

Nad zagadnieniami pracy kulturalno-wychowawczej obradowało w Łodzi Prezydium Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego. Tematem wiodącym był kształt i założenia II Przeglądu Aktywności Kulturalnej Ludzi Pracy — pod hasłem „Człowiek—Praca—Twórczość". Za najistotniejsze dla II Przeglądu uznano problemy rodziny, wychowania dzieci i młodzieży. Uczestnicy spotkania zapoznali się również z działalnością izb tradycji, istniejących w 110 przedsiębiorstwach przemysłu lekkiego.

•

Z filmu. Ukazał się kolejny numer Łódzkiego Kwartalnika Filmowego — produkcji WFO. Okiem kamery pokazano współczesne miasto, historyczne dokumenty jego życia, honorową galerię portretów łodzian, a także obchody 30-lecia Wytwórni Filmów Oświatowych. Znaczną część kwartalnika, podsumowującego dorobek 35-lecia w naszym mieście, pracownicy wytwórni wykonali w czynie społecznym.

Trwają zdjęcia do nowego polskiego filmu, realizowanego przez łódzkich twórców, a kontynuującego tradycję adaptacji znanych dzieł literatury. Tym razem scenarzyści: K. Frejdlich i W. Fiwek (zarazem reżyser filmu)) posłużyli się motywami „Serca" Amicisa.

•

Rozstrzygnięto konkurs na plakat, zorganizowany w ramach IX Ogólnopolskiego Przeglądu Plakatu Muzealnego i Ochrony Zabytków. Spośród 119 prac, wydanych przez 33 muzea i wojewódzkich konserwatorów zabytków w 5 województwach, I nagrodą obdarzono Romana Kowalika z Wrocławia za plakat „Joan Ponc — malarstwo i rysunek" (dodajmy, że wystawa pod tym tytułem gości w styczniu w łódzkiej Galerii Sztuki BWA). Natomiast laureatem II nagrody został łódzki plastyk — Janusz Wiktorowski, autor plakatu wydanego z okazji sesji historyków sztuki pn. „Tradycja i innowacja". Gratulujemy.

•

Z wysoką oceną spotkała się praca łódzkich konserwatorów sztuki z Pracowni Konserwacji Zabytków, którzy dokonali restauracji ocalałych drzwi Sali Tronowej Zamku Warszawskiego. Prace nad sosnowymi, dwuskrzydłowymi drzwiami trwały 8 miesięcy. Zabezpieczono ocalałe fragmenty złoceń i uzupełniono zniszczone fragmenty, zachowując jednak „stary" charakter drzwi. W pracach, które prowadził zespół młodych konserwatorów, pod kierunkiem mgr Iwy Petrowej-Szram, wykorzystano bogatą dokumentację fotograficzną.

•

W czterech łódzkich teatrach: Nowym, Powszechnym, Ziemi Łódzkiej i im. Jaracza, a także w siedzibie TPPR przy ul. Narutowicza 48 (dla turnieju poezji śpiewanej) rozpoczęły pracę punkty konsultacyjne dla kandydatów do jubileuszowego, XXV Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego, którego patronem jest w tym roku Jan Kochanowski (w 450 rocznicę urodzin). Wszystkie — zorganizowane po raz pierwszy w teatrach — punkty konsultacyjne, będące dowodem zainteresowania i chęci pomocy dla młodych recytatorów ze strony zawodowych teatrów — czynne będą do 15 lutego br.

•

Zainaugurowała działalność Studencka Wszechnica Kultury. Pierwszy wykład wygłosił prof. Stefan Morawski, poświęcając go „Postawie technologicznej i postawie anarchistycznej w sztuce współczesnej". Tematem drugiego wykładu, wygłoszonego przez dr Andrzeja Turowskiego, były: „Alienacja i utopia jako granice awangardy". W semestrze letnim wykłady obejmować będą 6 cykli. Zajęcia organizuje Instytut Teorii Literatury, Teatru, i Filmu UŁ.

LISTY DO REDAKCJI

W związku z wątpliwościami, jakie wyraził Andrzej S. Wierzecha w recenzji z przedstawienia „Tylko martwy kolega jest dobrym kolegą" W. Bauera („Biurowe dialogi Bauera", „Odgłosy" z dnia 20.I.1980 r.) w sprawie autora sztuki, wyjaśniamy co następuje:

Autor sztuki nosi, zgodnie z programem, imię Winfried i jest pisarzem zachodnioniemieckim. Jest to łatwe do stwierdzenia w miesięczniku „Dialog", który drukował tekst sztuki w numerze 1 w styczniu 1976 roku. Teatr jest w posiadaniu umowy licencyjnej opiewającej również na nazwisko Winfried Bauer. Wszystkie dane biograficzne podane w programie są również zgodne z faktami.

Z poważaniem
Kierownik literacki
dr WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KAJARAŚIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAŁOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stała współpraca: IAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROSCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMARSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

MGR KOWALSKI IDZIE DO PRACY

Dalszy ciąg ze str. 1

Dysproporcje te utrzymały się do dziś. W całym kraju na 1.000 zatrudnionych przypada 69 pracowników z wyższym wykształceniem, ale w woj. warszawskim — 135, w krakowskim — 119, wrocławskim — 96, poznańskim — 92, a w łódzkim — 77. Na ostatnich prawie miejscach plasują się bliskie nam województwa: piotrkowskie, sieradzkie, kaliskie i skierniewickie, w których na 1.000 zatrudnionych przypada od 40 do 46 osób z wyższym wykształceniem.

Wróćmy jednak do naszego Kowalskiego. Jeśli jest studentem uczelni technicznej, rolniczej, pedagogicznej lub medycznej, albo jednego z 9 kierunków uniwersyteckich, wówczas obejmuje go ustawa o planowym zatrudnieniu i nie może zniknąć z rejestru pełnomocnika ministra pracy, płac i spraw socjalnych do spraw zatrudnienia w wyższych uczelniach.

Teoretycznie Kowalski ma do wyboru trzy możliwości uzyskania pracy. Jeśli jest bardzo zapobiegliwy lub po prostu na piwo, papierosy, ciuchy i inne rzeczy niezbędne młodemu człowiekowi do dobrego samopoczucia wydaje więcej niż dostaje z domu, lub ze stypendium na uczelni, wówczas stara się o stypendium fundowane z zakładu pracy.

W Politechnice Łódzkiej stypendia fundowane pobiera od 10 do 30 proc. studentów, zależnie od kierunku studiów. Po studiach, rad nierad, Kowalski musi u fundatora pracować. Prawdę mówiąc, źle na tym nie wychodzi, skoro zakład zobowiązuje się pomóc studentowi w poznaniu profilu produkcji, odbyciu praktyki studenckiej, korzystaniu z pomocy naukowych i materiałów niezbędnych do przygotowania pracy dyplomowej. Zakład też bierze na siebie sprawę bodajże najważniejszą — pomoc w uzyskaniu mieszkania.

Przy okazji Kowalski przekonuje się, jak wielki jest głód mieszkaniowy w naszym kraju. Zdarza się bowiem, że zakład nie mogący się wywiązać z obietnicy zapewnienia lokum, nie tylko nie egzekwuje od stypendysty obowiązku pracy, ale nawet nie żąda spłaty stypendium: woli stracić niż procesować się z absolwentem, który mógłby jednocześnie oskarżyć zakład, o niedotrzymanie warunków umowy. Cóż, Kowalski uczy się. Uczy się, że prawo nie zawsze prawo znaczy.

Jeśli Kowalski nie zdecyduje się na stypendium fundowane (w ub. roku w Politechnice Łódzkiej nie wykorzystano aż 400 stypendiów) może już na III roku zawrzeć umowę przedwstępną z zakładem. I wreszcie, jeśli trudno mu się zdecydować wcześniej, tuż przed ukończeniem studiów może wybrać u pełnomocnika skierowanie do pracy.

Jeśli Kowalski studiował na kierunku objętym planowym zatrudnieniem, a nie podjął pracy bez wyraźnego powodu przewidzianego ustawą jak np. długotrwała choroba, dalsza nauka itp., wówczas zobowiązany jest wrócić skarbowi państwa połowę średnich kosztów wykształcenia. Kwota ta waha się od 60 do 185 tys. zł. W praktyce do zwracania kosztów studiów dochodzi niezmiernie rzadko. Np. w Politechnice Łódzkiej w ciągu trzech ostatnich lat koszty studiów zwróciło 6 studentów.

Zasada zwracania kosztów znana jest również w innych państwach, np. w Finlandii, gdzie państwo pokrywa połowę oprocentowania pożyczki, którą studenci muszą spłacać w ciągu 10 lat po ukończeniu studiów.

Kredyty na ukończenie studiów zaciągają również studenci niektórych uniwersytetów amerykańskich.

Zdecydowanie lepiej być Kowalskim niż Kowalską, gdyż zakłady pracy stanowczo bronią się przed zatrudnieniem kobiet. Prawdą jest jednak, że pani magister stroni od wielu prac (na przykład pracy na trzy zmiany) i wręcz unika pracy w produkcji.

Lepiej też być Kowalskim z politechniki i akademii medycznej niż z uniwersytetu. W Politechnice Łódzkiej w 1978 r. przypadały na jednego absolwenta 3 oferty pracy a w 1979 r. — dwie. W uniwersytecie w ubiegłym roku na 800 absolwentów przypadało 1.000 propozycji.

Kowalski nie chwyta oczywiście pierwszej z brzegu propozycji. Ma swoje racje, którymi się kieruje. Przede wszystkim Kowalski, a zwłaszcza Kowalska chcą pozostać w mieście. I zarówno wtedy, jeśli się tu urodzili i wychowali, jak i wtedy, kiedy są przybyszami z zewnątrz.

Dla łodzian z politechniki przypadała jednak tylko 0,4 oferty z miasta.

Kowalskiemu obce są jeszcze tęsknoty wieku dojrzałego, typowe chęci ucieczki od cywilizowanego świata, zaczynania wszystkiego od nowa. W jednym z numerów „Der Spiegel" H. Schreiber starał się udowodnić, iż owe ucieczki dorosłych w zupełnie nowy styl życia i nową jakość, to swoisty kryzys naszych czasów. Ludzie, którzy dochodzą do wniosku, że inaczej wyobrażali sobie swoje życie, swój zawód, partnera — ratują się całkowitą zmianą życiowych realiów. Nie uciekniemy od tego zjawiska. Niedawno w IV programie Polskiego Radia usłyszeliśmy o doc. dr hab. oraz dwojgu inżynierach, którzy pojechali do Stronia Śląskiego hodować owce... Znam łodzian, także z grona członków NOT, którzy po przejściu na emeryturę osiedlili się na wsi olsztyńskiej.

Ale nasz Kowalski nie powtarza jeszcze za Tuwimem: „Rzuciłbym to wszystko, rzuciłbym od razu" i za nic w świecie nie chce osiąść w parterowym domku przy małej ulicy. Nawet jeśli dostanie 800 lub 1.000 zł więcej na wynajęcie mieszkania. Najchętniej podejmują pracę w terenie inżynierowie (50 proc.). Absolwenci Uniwersytetu Łódzkiego wyjeżdżają w 30 proc., a nie objęci planowym zatrudnieniem w 10—15 proc.

Kowalska z uniwersytetu ma swoje argumenty: odległość od dużego miasta, fatalna komunikacja, zupełnie nowe środowisko, brak oparcia w rodzinie. Jeśli Kowalska jest początkującym inżynierem, to otrzymuje na stażu od 2.600 do 2.800 zł, podobnie jak młody lekarz. Nauczyciele chowają do kieszeni pierwsze pensje w wysokości 3.500 zł. Najkrótszy staż wynosi 3 miesiące, a umowa o pracę z absolwentem zawierana jest na 3 lata.

Kowalski jest zatem zagubiony między obiegową opinią, która straszy brakiem miejsc pracy, informacjami z Wydziału Zatrudnienia — iż zatrudnienie zmniejsza się z roku na rok, a statystykami kłującymi w oczy ciągle zbyt małym nasyceniem kadr z wyższym wykształceniem.

Jego rozterki wzrosłyby jeszcze bardziej, gdyby dowiedział się, że bilanse siły roboczej dokonywane przez Wydział Zatrudnienia i uczelnie dalece się rozmijają.

Na ostatnim kolegium rektorów łódzkich uczelni, dyrektor Wydziału Zatrudnienia i Spraw Socjalnych w Łodzi poinformował, iż do 1985 r. w woj. łódzkim, piotrkowskim, sieradzkim, skierniewickim i kaliskim można zatrudnić rocznie 1.645 absolwentów z uniwersytetu i 1.565 z politechniki. Kuratorium Okręgu Szkolnego przewiduje, że do 1985 roku zatrudni 750 absolwentów UŁ.

W roku akademickim 1979 uniwersytet wykształcił 1.420 osób, a więc o 225 więcej niż przewidują prognozy zatrudnienia urzędu. Studia dzienne w politechnice kończy rocznie około 1.200—1.300 absolwentów. Jak więc wynika z danych, można by zatrudnić wszystkich absolwentów, a nawet zostaną jeszcze wolne miejsca pracy.

W świetle bilansu sporządzonego niezwykle starannie przez Uniwersytet Łódzki, zapotrzebowanie na kadrę z wyższym wykształceniem wygląda jeszcze inaczej. Według danych zaczerpniętych przez uczelnię z Komisji Planowania ilość stanowisk pracy wymagających wyższego wykształcenia wynosiła w woj. łódzkim — 49.324, kaliskim — 18.128, piotrkowskim — 11.820, skierniewickim — 7.681, sieradzkim — 7.128. Tymczasem na stanowiskach tych zatrudnionych jest (podajemy kolejno) 37.705 osób; 7.429; 6.393; 4.109; 3.367.

W takim wypadku, skoro tylko w Łodzi i w woj. brakuje 12 tys. osób z wyższym wykształceniem, nie można mówić o nadmiarze absolwentów wyższych uczelni.

Interesujących wniosków dostarczają także — analiza zatrudnienia oraz jej konfrontacja z kwalifikacjami i specjalnościami zatrudnionych pracowników.

Najwięcej, bo aż 9.549, potrzeba nam specjalistów z dziedziny ekonomii i nauk pokrewnych, 8.070 — z nauk humanistycznych i pokrewnych, 3.472 z matematyki i nauk przyrodniczych oraz 1.564 — prawników i specjalistów z dziedziny administracji.

Jeśli Kowalski uważnie wczyta się w te liczby, to być może zrozumie jedną z głównych przyczyn kłopotów na rynku pracy. Najlepiej byłoby zatem „przechować" absolwentów do czasu kiedy tysiące ludzi bez kwalifikacji opuści zajmowane przez siebie stanowiska.

Trzeba zatem zadać następne pytanie: w oparciu o jakie kryteria sporządzono te bilanse? Można sądzić, iż uczelnia kierowała się szeroko pojętymi potrzebami społecznymi i gospodarczymi kraju, a Wydział Zatrudnienia — potrzebami instytucji, w których „wąskim" interesie często nie leży zatrudnianie magistrów.

W świetle tych danych wszelkie tendencje zmierzające do drastycznych ograniczeń rekrutacji na studia mijają się z celem. Co więcej, mogą świadczyć o wsteczności poglądów.

Pod względem liczby studiujących Polska znajduje się na dobrej pozycji w świecie. Na 10.000 mieszkańców przypada bowiem u nas 179 studentów, podczas gdy w Argentynie 233, Australii — 186, Danii — 209, Holandii — 185, Japonii — 202, Wielkiej Brytanii — 132, Związku Radzieckim — 192. Na Węgrzech studiuje 104 studentów na 10.000 mieszkańców, w Rumunii 81, Czechosłowacji — 112 i w Austrii — 112 osób. Dane te mogą co prawda pobudzać patriotyczną dumę Kowalskiego, niewiele mu jednak pomogą w znalezieniu odpowiedniej pracy. Mało go też obchodzi zależność między liczbą studiujących, a rozwojem szkoły wyższej. A prawdę mówiąc „trzęsie go" ze złości, kiedy słyszy, że w woj. łódzkim w październiku ub. roku było jeszcze 13 tys. wolnych miejsc pracy głównie w przemyśle, handlu, usługach. Poszukiwani są wykwalifikowani robotnicy, ekspedientki, rzemieślnicy. Jednocześnie co roku przyjmuje się do pracy o kilka tysięcy mniej pracowników.

Dążymy bowiem do osiągnięcia takiego stanu, w którym jakość będzie górowała nad ilością. Niestety Kowalski na własnej skórze odczuwa ów wyświechtany komunał. Nic mu bowiem po jego dyplomie z wyróżnieniem lub „Medalu za chlubne studia". **Nie przyjmuje się do pracy lepszego aabsolwenta tylko po prostu absolwenta.** Wyniki na studiach nie mają więc żadnego wpływu na jego dalsze życie. Kowalski przekonuje się więc raz jeszcze, że nie zawsze dobrze jest być w awangardzie. **I nie dziwi się już, że lepszą pracę dostał Nowak, który wcale nie był dobrym studentem, ale miał większą protekcję i wiedział, w której instytucji kto i kiedy odchodzi na emeryturę.**

Kowalski szuka więc pracy w zawodach, o których jeszcze kilka lat temu nawet by nie pomyślał. Jeszcze niedawno jego poglądy nie różniłyby się od obiegowej opinii. Wzruszyłby ramionami i powiedział z politowaniem: inżynier w warsztacie, magister w ajencyjnym sklepie? Też coś! Dziś już się nie oburza. Przeciwnie, w jego głosie wyczuwa się nutkę podziwu dla zaradności kolegów. Bo na dobrą sprawę tych 113 inżynierów w Łodzi i w województwach ościennych, z których 95 jest właścicielami prywatnych warsztatów, robi przecież dobrą robotę, z czego można się tylko cieszyć.

Powoli Kowalski zaczyna się orientować, że w państwie, w którym z pracy uczyniono prawo, obowiązek i sprawę honoru, najwięcej uprzedzeń narosło wobec owego honoru. Bo magistrowi nie wypada pracować w sklepie ani fizycznie u nas w kraju, ale nikt się nie dziwi, a nawet wszyscy chwalą, jeśli robi to samo za granicą. Kowalski żyje więc w rozterce, gubiąc się w domysłach, kiedy to do pracy podchodzi się z szacunkiem, a kiedy nie.

Na krótko mogłyby mu poprawić samopoczucie materiały UNESCO. Tzw. raport Faure'a zawierający wybór dokumentów i opinii na temat współczesnych powiązań między sytuacją ekonomiczną, społeczną i oświatową w świecie.

Coraz więcej chętnych na studia, coraz większe trudności z racjonalnym wykorzystaniem kwalifikacji — to charakterystyczne cechy występującego „kryzysu wzrostu" — czytamy w jednym z dokumentów. Jednocześnie w tym samym czasie, kiedy Kowalscy szturmują do bram uczelni, światowe organizacje oświatowe odnotowują wzrastającą liczbę analfabetów.

Na razie Kowalski nagabuje pełnomocnika na uczelni lub zaczyna „załatwiać" pracę na własną rękę, co dobrze świadczy o jego życiowej edukacji.

MAŁGORZATA GOLICKA

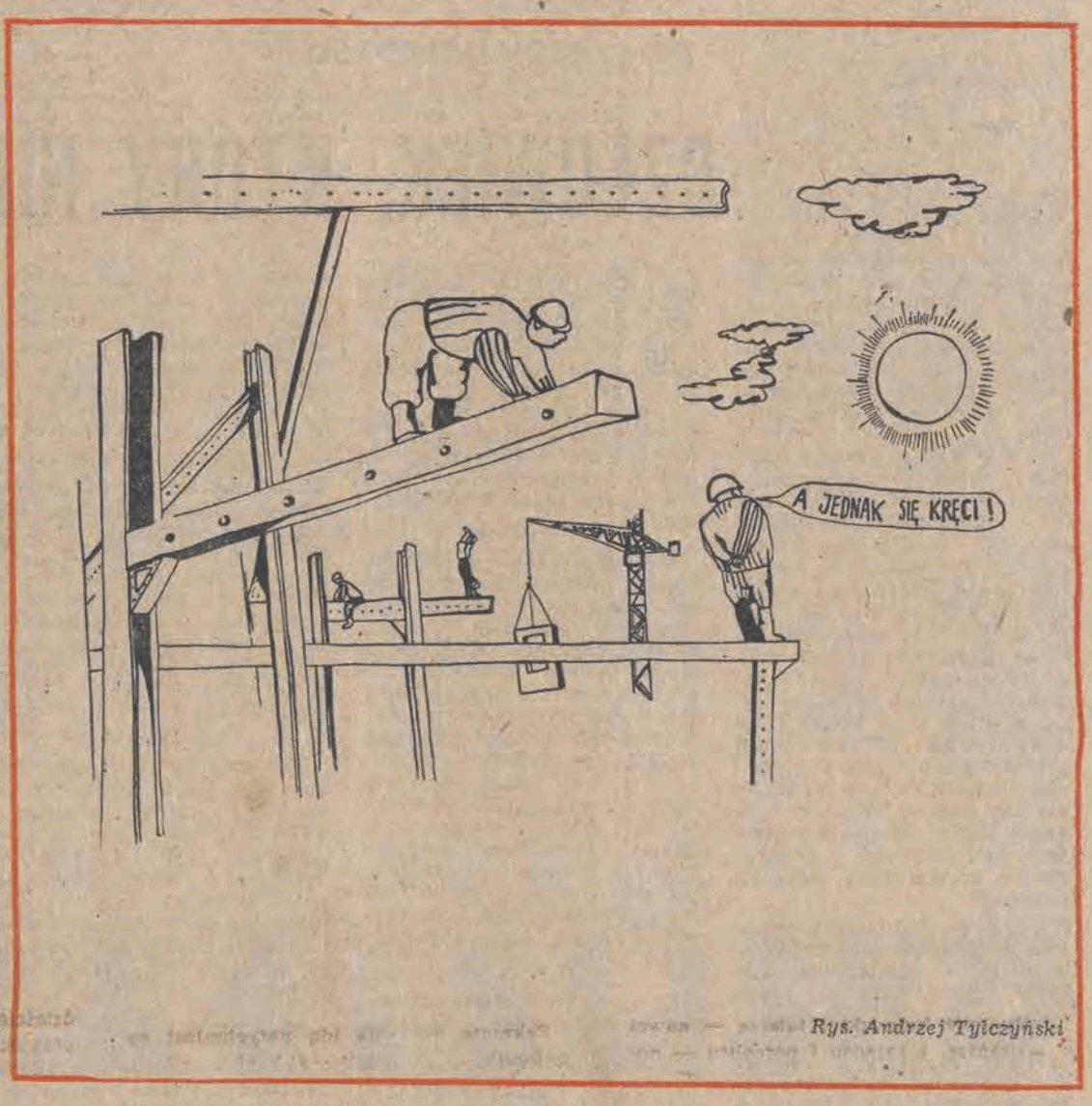

Rys. Andrzej Tylczyński

Grażyna jest młoda, ładna, ale przygaszona. W dokumentach, w rubryce wykształcenie, wpisuje — wyższe, w rubryce zawód — magazynierka. I tak od dwóch lat. Najpierw pracowała pół roku w szkole, zastępując chore nauczycielki i matki na urlopach. Potem koleżanki wyzdrowiały i musiała zacząć szukać innej pracy. Przyzwyczaiła się już do tego, że rozkładano ręce, kiedy przyznawała się, że skończyła filologię polską.

W końcu przyjęła pracę magazynierki w jednej z łódzkich instytucji, z pensją 3 tys. zł. Początkowo znajomi pytali z niedowierzaniem, czy to prawda, potem się uśmiechali. Właściwie wszystkich śmieszyła ta sytuacja. Wszystkich oprócz Grażyny. Codziennie rano wydając materiały myśli o swojej pracy z wściekłością, a potem ze znudzeniem. Jedyny plus, że poczytać sobie można. Czyta więc i czeka na wiosnę. Wiosną zacznie nowe życie, może w przedszkolu, może w świetlicy, może w księgarni?

Wojtek skończył socjologię i dziś jest właścicielem dobrze prosperującego butiku w niezłym punkcie. Interes prowadzi do spółki ze znajomą, zarejestrowaną w cechu krawcową. Większość konfekcji i tak szyją chałupniczki. Najwięcej trzeba zabiegać o tkaniny, ale trud się opłaca. Wojtek po dwóch latach pracy ma doskonale wyposażone mieszkanie, niezły samochód. Żonie na rocznicę ślubu kupił pierścionek. Takie maleńkie cacko z brylantem. Nic wielkiego. Socjologia przydaje mu się znakomicie. Gdyby nie znajomość zachowań określonych zbiorowości, nigdy nie uzyskałby zaopatrzenia dla swojego sklepu.

Paweł skończył romanistykę. Pracuje na pół etatu w szkole. Ma dużo czasu żeby dawać lekcje i korepetycje. Za godzinę francuskiego i tak bierze tanio, bo 150 zł. Uczniów przygotowuje bardzo starannie i już ma chętnych więcej niż może przyjąć.

Krystyna po ekonomice i organizacji budownictwa i inwestycji pracuje w jednym z łódzkich przedsiębiorstw. Rano czyta gazety, wybiega po świeże bułki dla szefowej, nauczyła się pisać na maszynie. Z „prawdziwą" pracą zetknęła się pod koniec roku, kiedy sporządzano sprawozdania i bilanse. Mieszka razem z rodzicami, czeka na mieszkanie spółdzielcze. Chciała wynająć pokój na mieście, ale pochłaniałoby to jedną trzecią jej pensji.

Jerzy inżynier, prowadzi warsztat naprawy samochodów. Cieszy się doskonałą opinią wśród klientów. Warsztat odziedziczył po ojcu. Na studiach nawet nie myślał o tym, że będzie tu pracował. Cóż, ojciec zachorował, trzeba było mu pomóc, a po jego śmierci objął całość. Jak to dobrze, że skończył politechnikę i to wydział mechaniczny. Nie, nie może narzekać na brak satysfakcji zawodowej.

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI

CZŁOWIEK, KTÓRY NIE BYŁ W MIEŚCIE ULM

Co to za miasto: Ulm? Dobry uczeń szkoły średniej już spieszy z odpowiedzią, że to Napoleon pod Ulm rozgromił Austriaków. Prymus dopowie, że działo się to w roku 1805. A już erudyta, że w Ulm urodził się Albert Einstein. No i że tam właśnie, z górą czterysta lat temu powstał pierwszy w Niemczech teatr miejski.

Nie wiedział tego w czasie wojny Stanisław Węglarski. A gdyby nawet wiedział, odkrzyknąłby, oczywiście człowiekowi pewnemu: *A niech ich szlag trafi! Ładne „sztuki" te szkopy teraz odgrywają w okupowanej Europie!* Dla niego Ulm znaczyło po prostu: pomoc ginącym, umierającym z ran w polskich lasach, w partyzanckich szpitalikach urządzonych w ustronnych leśniczówkach, w leżących na uboczu chłopskich chatach...

Chciałem zacząć od życiorysu Stanisława Węglarskiego, ale on o nowych troskach wieloletniego kierownika administracyjnego Spółdzielni Lekarzy w Piotrkowie. Przecież spółdzielnia ma od kilku miesięcy piękny lokal przy ulicy Targowej w pawilonie WUSP, której jest agendą, wyniosła się wreszcie po kilkunastu latach z ciasnej, staromiejskiej kamieniczki stojącej pod prastarą farą. A tu pan Stanisław znów niezadowolony! *I tu jednak też ciasno* — powiada — *i rentgenu własnego nie ma, ludzie aż do Łodzi na Piotrkowską koło placu Wolności jeździć muszą, cały dzień tracą...*

— *Wie pan co znaczy jeden dzień wyrwany z życiorysu, z pracy w zakładzie* — powiada — *A i liczą się koszty własne chorego... Musimy ten rentgen mieć. Oczywiście, że są w Piotrkowie rentgeny na wyposażeniu służby zdrowia, ale nie są już w stanie obsługiwać także pacjentów spółdzielni... Chodzi o czas. U nas dziś pobrana krew lub mocz — jutro są wyniki, za jedyne trzydzieści złotych. W miejskich przychodniach czeka się i ponad tydzień. Że za darmo? No nie tak bardzo! W niektórych przypadkach proces chorobowy przez ten czas może posunąć się już daleko. To są koszty i jakie!...*

Aby więc zakończyć z umiłowanym dzieckiem pana Węglarskiego — Spółdzielnią Lekarzy, trochę danych. Kiedy powstała w 1953 roku i pan Węglarski z małą grupką ludzi ją rozkręcał, zajmowała kątem dwa pokoje w czynszowej kamienicy przy ulicy Słowackiego i pracowało w niej czterech lekarzy. Dziś spółdzielnia zatrudnia 43 lekarzy wszystkich specjalności plus personel pomocniczy, daje ostatnio ponad 40 tysięcy porad rocznie (i usług), a jej obroty przekraczają 4 mln zł.

• • •

Urodził się 9 grudnia 1898 roku w Miechowie. Ojciec był metalowcem, a matka pochodziła z rodziny o ciągle żywych tradycjach powstańczo-niepodległościowych. Żyli jeszcze za młodych lat pana Stanisława wujowie i dziadowie — uczestnicy Powstania Styczniowego. W Sosnowcu, dokąd przenieśli się ze względu na pracę otrzymaną tam przez ojca, rozpoczął naukę w gimnazjum realnym. Zaledwie jej pokosztował, gdy wybuchła pierwsza wojna światowa. Rodzina Węglarskich powróciła do Miechowa, a tu ułani, legiony, bieliniacy. I *Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani...* Wraz z innymi *chłopcami malowanymi* harcował na Pustyni Błędowskiej, później już nie jako harcerz, a junak POW.

Kiedy w listopadzie 1918 się ruszyło, na czele piętnastoosobowego oddziału otrzymał rozkaz opanowania budynku stacji kolei wąskotorowej Słaboszów. Zajęli stację bez ofiar w ludziach. W pobliskim, dużym młynie w Nieszkowie stacjonował większy oddział okupantów. Okazało się, że *Austriakami* byli Czesi i Bośniacy, więc znów poszło gładko. Władali stacją i młynem do końca listopada. Po z górą wiekowej niewoli oni, polscy żołnierze, stali na straży s w e g o! Kiedy odkomenderowano ich do Miechowa, weszli w skład 11 kompanii, która stanowiła zalążek późniejszego 25 pułku piechoty, pułku piotrkowskiego.

Do roku 1928 był żołnierzem. Jeszcze później, po kilkunastu latach ponownie, ale już w konspiracji, w straszliwych czasach hitlerowskiego ludobójstwa.

• • •

Każdy ma jakąś swoją krainę westchnień i wspomnień. Z dzieciństwa, z młodości... Stanisław Węglarski ma także, nadwiślańską: Toruń — Chełmno — Grudziądz.

— *Chełmno nad Wisłą* — powiada w zadumie — *cudne miasto... Co roku tam jeżdżę. Kiedy się z oddali wita to miasto, już widok jego stromych barwnych dachów i wspaniałej gotyckiej fary roztkliwia. Tak, tak, tam się zakochałem. Tam znalazłem żonę, w miejscowej gimnazjalistce.*

Piotrków, rok 1924. Został szefem garnizonowej izby chorych 25 pp, bo wcześniej orzeczono, iż z jego nie za tęgą posturą to w sam raz do Centralnej Szkoły Podoficerów Sanitarnych w Toruniu. Piotrkowska garnizonowa izba chorych mieściła się w jednym z najokazalszych do dziś gmachów miasta na rogu Alej i ulicy Piastowskiej. W czasie pierwszej wojny stary Sztajnberg, ojciec późniejszego lekarza i kolegi pana Stanisława, zbudował tę okazałą kamienicę na Izbę Skarbową.

— *Wie pan, redaktorze, kto z moich druhów wojaków żyje z tamtych lat w Piotrkowie?* — pyta pan Węglarski i dodaje — *Zna pan przecież Wicka Stępnia...*

Wincenty Stępień, kolejna piękna postać starego i na szczęście jeszcze dzisiejszego Piotrkowa, ogrodnik miejski, do dziś, choć na emeryturze, mimo ósmego krzyżyka, doglądający park i kwietniki, a także cmentarze: on to pamięta o grobie szanowanego przez ludzi pracy prezydenta Piotrkowa sprzed laty, socjalisty Kazimierza Szmidta. Spotykamy pana Stępnia idącego przez miasto z rowerem; przygarbiony, z rękoma pachnącymi jak ziemia wiosną; chyba miliony kwiatów zasadziły pracowite dłonie pana Wincentego...

• • •

Kiedy w ówczesnym „Głosie Trybunalskim" pan Stanisław wyczytał, że socjalistyczny magistrat poszukuje higienisty miejskiego, zdecydował się, przeszedł do cywila. I tak rozpoczęła się jego, do dziś, a więc przez z górą pół wieku już trwająca służba na rzecz zdrowia piotrkowian.

— *Co znaczyło być wtedy higienistą miejskim?* — wspomina — *Lekarzy było niewielu. Zagęszczenie biednych dzielnic ówczesnego Piotrkowa wielkie. Nie śniło się nikomu o tych dzisiejszych dzielnicach: Wyzwolenia, Piastowskim, Wysoka, Trzydziestopięciolecia PRL. A mieszkańców było mniej zaledwie o dwadzieścia tysięcy* (dziś Piotrków dobija 70 tys., gdy wtedy miał już nieco ponad 50 tys. mieszkańców — przyp. mój). *Dziś wskaźnik zagęszczenia na izbę wynosi 1,1 osoby, wtedy w biednych domach wokół hut „Hortensja" i „Kara", na Bugaju, czy na Bujnowskiej tysiące wielodzietnych rodzin zajmowało tylko jedną izbę. Podobnie było na piotrkowskiej Starówce.*

Podzielił miasto na rejony. Od świtu wizytował je po kolei, odwiedzał magazyny żywności, sklepy, masarnie i piekarnie. Smród i brud! Wchodzi do maleńkiego sklepiku na ulicy Żydowskiej, dziś Starowarszawskiej. Na półeczce w słoiku cukierki różowe, bądź żółte — koraliki z krochmalu i słodu. Obok kontuaru zmajstrowanego z ledwie heblowanej deski uchylona, drażniąca powonienie przybysza beczułka śledzi, a za owym „kontuarem" istota-zjawa: stara Żydówka jeszcze tu siedząca, a już właściwie należąca do tamtego świata. Wchodzi chłopczyna obtargany w czapce ze złamanym daszkiem, kładzie na *kontuarze* dwa grosze. Stara kobieta bierze w drżące i brudne dłonie pajdkę chleba, kładzie na niej dzwonko śledzia, wodzi tym kawałątkiem słonej ryby po powierzchni suchej pajdki, podaje klientowi. Ten zwleka. Jakby powracając z zaświatów, stara kobieta dorzuca kawałek cebuli. *Nu, szlus* — mamroce.

— *Powiadam, że brudno, że tak nie może być i jak się nie zmieni, będzie grzywna* — wspomina Stanisław Węglarski — *Panie doktór, nie krzywdź pan, przyjdź pan za tydzień, sze poprawi — skomle istota — zjawa. Miałem karać, kiedy wiedziałem, że za rok się to i tak nie zmieni? A epidemie nie były wcale rzadkością...*

• • •

Zawodowych prostytutek było w Piotrkowie w latach trzydziestych siedemdziesiąt parę. Te miały patent, czyli tzw. „czarne książki" i zabowiązane były do stawiennictwa we wtorki i piątki od ósmej do dziesiątej przed obliczem doktora Fajmana. Ale były też *dorabiające*, uprawiające prostytucję wstydliwie. Najczęściej z biedy, braku zawodu i miejsca pracy.

Ładna, smagła dziewczyna ze Starowarszawskiej. Miała zaledwie siedemnaście lat. Doprowadzono ją przed oblicze areopagu złożonego z przedstawicieli służby zdrowia i koła Pań Polek. Ta ostatnia, pani mecenasowa cierpliwie acz stanowczo poczęła moralizować, malować wizję *życia w czystości* — z zamążpójściem, dziećmi, *rzetelną pracą*. Dziewczyna wysłuchała, by za chwilę zaatakować z całą bezwzględnością. *Pani mnie zatrudni jako służącą? Zatrudni mnie pani. No to kiedy państwo będą mieli wychodne, dobierać się do mnie zaczną synalkowie jaśnie państwa. A kiedy pani wyjedzie do wód, mężulek szanowny pozostanie w domu, to i on dobierze się do mnie. I wszystko to za darmo!? Mam może jeszcze dopłacać do pieskiej służby?*

Takie były te czasy, a szła już wojna...

• • •

Jako były wojskowy mianowany został w trzydziestym ósmym roku szefem sanitarnym OPL. Kiedy zaczęły padać bomby, ruszył z Piotrkowa do Opoczna, gdzie się miał zameldować u jakiegoś majora z elaboratem w sposób *tajny i konkretny* zabezpieczającym obronę sanitarną ludności miasta Piotrkowa. Wrócił po kilku dniach. Teczkę z elaboratem utopił po drodze w jakiejś rzeczułce, przyciskając ją głazem ażeby atrament puścił...

W Piotrkowie już byli najeźdźcy. Myślał o odnowieniu służb PCK, bo szefował też osiemnastu drużynom sanitarnym, ale zaczęły się takie przyjemnostki: któregoś dnia zjawia się rosły drab w świeżutkim mundurze hitlerowskiego żandarma i oddaje ekwipunek. Był to jeden z tych z drużyn PCK! Kac moralny, bo i tak działała hitlerowska piąta kolumna. Ale przecież większość zdecydowana dawnych podkomendnych i znajomych nie zawiodła.

Trzeba jednak było rozpocząć robotę bardzo rozważnie, do jedynej jawnej organizacji, czyli do PCK przemycać samych pewnych ludzi. Zaczęli poszukiwać zaginionych, udzielać pomocy sanitarnej, organizować dożywianie. Pierwszy prezes PCK, ksiądz imieniem Andrzej, w porę ostrzeżony przed aresztowaniem przez gestapo, zostawił kartkę: *Jestem Zając, uciekłem do lasu...* Wkrótce doszło do istnego najazdu na Piotrków — napływali wysiedleńcy z Poznańskiego i Pomorza, też lekarze, trzeba było im pomóc w znalezieniu pracy. Stanisławowi Węglarskiemu, działającemu walnie w PCK i szefującemu ośrodkowi zdrowia, pomagali m. in. dr Józef Opala, szczególnie zasłużony w pomocy udzielanej jeńcom radzieckim, dr Franciszek Bierzyński, który gdy trzeba było, brał z narażeniem życia do własnego domu poranionego „Jędrusia", a na co dzień bezinteresownie prowadził tzw. *Kroplę mleka*, w której wydawano mleko biednym dzieciom. Do chwili aresztowania dzielnie pomagała dr Jadwiga Szustrowa...

• • •

Z Ulm przychodziły do Ośrodka Zdrowia materiały opatrunkowe i medykamenty. W getcie, w budynku, w którym wcześniej, a i już po wojnie mieściła się szkoła im. Konopnickiej, pan Węglarski zorganizował żelazny magazyn leków i materiałów opatrunkowych *na cały batalion wojska*. Wydziwiał hitlerowski dygnitarz, który go zwizytował, ale i pochwalił, bo *się przyda*.. Stanisław Węglarski i jego towarzysze wiedzieli jednak, że najważniejsze, iż się już przydaje. *Szwarcowano* lekarstwa i bandaże do lasu, głównie drogą przez Rozprzę, w której szefował podziemiu chorąży z 25 pp Kulasek, noszący pseudonim *Poganin*. Inny punkt przerzutowy mieścił się na ulicy Belzackiej.

Ośrodek Zdrowia przy ulicy Wojska Polskiego pod 14 (nie ma już tego budynku, w którym na parterze mieściła się łaźnia miejska) stanowił także *drogę życia*. Stał on na granicy między Piotrkowem aryjskim, a gettem. Do końca, czyli do likwidacji piotrkowskiego getta, Niemcy się nie zorientowali, że z pierwszego piętra domu było znakomite przejście do getta. Do dziś żyje w Piotrkowie i jest częstym gościem Klubu Prasy „U Dziennikarzy" Roman Hipszer, który jako młode chłopię *dyżurował* pod opieką pana Węglarskiego, przenosił w obie strony co przenosić trzeba było.

— *Zatrudniałem w Ośrodku niejakiego Wolfa. Ryże to było chłopisko, któregoś dnia przychodzi prawie z płaczem. — Głupia baba, znaczy się żona podpisała volkslistę. Okazało się, że podpisała nie tylko głupia baba, on także. Postanowiłem* — powiada pan Stanisław *mścić się na tym ryżym łbie systematycznie. Ale Wolf szkodliwy nie był, a moja zemsta sprowadzała się do tego, że był nam wielce pomocny. Raczej nie wiedząc o co chodzi, wykonywał naszą robotę. Informował o przywiezieniu „Jędrusiów" postrzelanych do szpitala, albo wysyłałem go z groźnie dla Niemców brzmiącą wywieszką „Uwaga! Dur plamisty!" Nalepiał te wywieszki na mieszkaniach, w których w najlepsze siedzieli zdrowi konspiratorzy, szykując kolejną akcję dywersyjną... Moje wizyty w kostnicy szpitala przy ulicy Wojska Polskiego były smutnym obrządkiem. Chłopcy zabici w bojach z Niemcami i tu przez nich przywiezieni, nie mieli dokumentów. Pod pozorem wykonywania swojej roboty, spisywałem znaki szczególne poległych, by rodziny dowiadywały się o bohaterskiej śmierci synów, braci, mężów...*

STANISŁAW WĘGLARSKI: „Po prostu nie uznaję emerytury".

• • •

A po wojnie? Radość wyzwolenia i zwycięstwa splotła się z radością z powrotu żony z obozu koncentracyjnego. I znów stanął do pomocy w organizowaniu służby zdrowia. Kierownikiem piotrkowskiego wydziału zdrowia był od stycznia 1949 do 1962. Właściwie z krótką przerwą w 1958 roku, kiedy to władze ministerialne zdecydowały, iż stanowisko to może pełnić jedynie dyplomowany lekarz. Z braku kandydata, po kilku tygodniach przeproszono pana Stanisława i jeszcze przez cztery lata był kierownikiem.

Po założeniu Spółdzielni Lekarzy, był szefem sztabu społecznego komitetu budowy szpitala na 500 łóżek. W pięćdziesiątym dziewiątym ruszyła budowa dziś starego już szpitala wojewódzkiego przy ulicy Rakowskiej.

Jako anegdotę opowiadają sobie wtajemniczeni jak to kierownik Węglarski zdobył dla Wydziału Zdrowia powojskowy gmach przy ulicy Wojska Polskiego 77. Jego ludzie *zaczakowali* budynek przez okna, zabarykadowali się od środka, gdy tymczasem kierownik nie wychodził z gabinetu przewodniczącego Prezydium MRN Szafrańca tak długo, dopóki nie otrzymał przydziału. Jednak kilka pomieszczeń na pierwszym piętrze dostało się Wydziałowi Finansowemu PRN. Przechodzący na piętro ocierali się o beczkę pełną lasowanego wapna. Nosy trzeba było zatykać. Na protesty sublokatorów kierownik Wydziału Zdrowia odpowiadał, że *trzeba stale dezynfekować, bo przychodzą tu ludzie z różnymi chorobami*. Kiedy brakło sublokatorów, to i beczka z wapnem zniknęła...

Albo Państwowa Szkoła Pielęgniarska. Dyrektor Zakładów Bawełnianych zaczął na posiedzeniu Prezydium MRN narzekać, że utrzymanie internatu zbudowanego dla prządek stwarza deficyt, a mieszkanki wydają się za mąż, opuszczając internat. Kierownik Węglarski zagadnął: *Sprzedacie, towarzyszu ten gmach?* Dyrektor, że owszem. Więc kierownik Wydziału Zdrowia w pociąg i do Łodzi. Mówi o sprawie kierownikowi wojewódzkiemu dr Frejdlichowi, ale ten dawaj go objeżdżać. *Budujemy, kierowniku, szpital na pięćset łóżek w Piotrkowie* — nie dał się zbić z tropu kierownik Węglarski — *skąd weźmiemy tyle pielęgniarek?* I dr Frejdlich skapitulował, i poparł Piotrków w resorcie. I tak powstała Państwowa Szkoła Medyczna typu średniego i pomaturalnego, szkoląca kadrę nie tylko dla dzisiejszego województwa piotrkowskiego.

• • •

Kawaler Krzyża Odrodzenia Polski działa w terenowej organizacji partyjnej, bo od początku był aktywnym członkiem PZPR, przez jakiś czas członkiem KM PZPR. Przez wiele powojennych lat prezesował PCK w mieście. Od początku jest członkiem Rady Nadzorczej WSS „Społem" — w tej instytucji społecznie do dziś *obrzydza życie* komu trzeba, bo jak powiada, *stan sanitarny żywności stanowi gwarancję zdrowia obywateli.*

— *Takie to dziwne, że pracuję jeszcze jak bym miał, powiedzmy, sześćdziesiąt lat, a nie ukończone osiemdziesiąt jeden? Po prostu nie uznaję emerytury* — śmieje się człowiek, który jest zdania, i wypowiada to już całkiem serio, *iż ciągle jeszcze za wielu ludzi wokół nas, i to ludzi w sile wieku, pracuje na powierzonym stanowisku byle jak, mając w polu widzenia efekty doraźne, jakby w poniedziałek myśleli z górą o wtorku, ale już nie o tym, że będzie i piątek, i sobota... Ta doraźność nie zaostrza ludzkiej ambicji. A warto przywrócić blask słowu honoru. To tylko pozornie nic się za to nie kupuje...*

TAKI SOBIE EPILOG: I na tym powinienem zakończyć opowieści z życia Stanisława Węglarskiego, a dziwne człowiek miewa skojarzenia. Łazi mi w związku z tymi opowieściami po głowie opowiadanie Siegfrieda Lenza *Einstein przepływa Łabę pod Hamburgiem*... Einstein urodził się w Ulm, to już powiedzieliśmy. Stanisław Węglarski nie był w mieście Ulm, a musiał wielokrotnie *przepływać Łabę*, jak każdy Polak...

...Nie śniło się nikomu o tych dzisiejszych dzielnicach: Wyzwolenia, Piastowskim, Wysoka, Trzydziestopięciolecia PRL...
Foto: J. Dybkowski

Na zdjęciu od lewej. STANISŁAW FRONCZAK — prezydent Pabianic, DANUTA MIKOŁAJCZYK — I sekretarz KM PZPR, JADWIGA BŁOCH — sekretarz do spraw ekonomicznych KM PZPR.

Foto. L. Włodkowski

DALEKO I BLISKO

Dalszy ciąg ze str. 1

kiej fabryce jest też dyrektorem prezes Rady Spółdzielni w Pabianicach. Pabianiczanie pracują w łódzkich wyższych uczelniach, a wielu łodzian pełni w Pabianicach różne odpowiedzialne funkcje czy zajmuje różne stanowiska w przemyśle, administracji i angażuje się w sprawy Pabianic. Skąd się to bierze? Z autentycznej dumy i przywiązania do tradycji miasta, do jego rewolucyjnej przeszłości, przekazywanej z pokolenia na pokolenie. Nie przypadkiem nieco ponad 10 procent członków pabianickiej organizacji partyjnej ma staż sprzed 1948 roku, choć organizacja nasza nieustannie młodnieje.

Łódź i Pabianice miały podobną przeszłość. Wyrosły na włókiennictwie. Robotnicy obu miast wspólnie walczyli o swoje polityczne i społeczne prawa, jednakowo cierpieli pod hitlerowską okupacją, razem wzięli się do budowy nowego ustroju. Ta wspólnota tradycji, jak i podobieństwo dróg rozwojowych umocniły autentyczność wewnętrznego rozwoju obu miast, choć tempo przemian nie zawsze w obu było jednakowe. I dlatego czasem może się wydawać, że z Łodzi jest dalej do Pabianic niż z Pabianic do Łodzi. Ale odległość w obie strony jest jednakowa.

Między Łodzią i Pabianicami leży spory obszar żyznej ziemi, gdzie rozwija się ogrodnictwo i sadownictwo. Z tego powodu rozwój terytorialny Pabianic nie mógł postępować w kierunku Łodzi. Poza tym w rejonie stacji kolejowej w Pabianicach w czasie okupacji Niemcy zaczęli budować nowe osiedle. Tutaj, korzystając z istniejących urządzeń kanalizacyjnych i wodociągowych, zaczęto wznosić pierwsze bloki po wojnie. Dziś nowe budownictwo lokuje się na Bugaju, ale przedtem powstały osiedla: Piaski, Wileńska, Karolewska, Orla-Cicha, Kopernika. W przygotowaniu są Bugaj II i Bugaj III.

— *W 1981 roku* — mówi Danuta Mikołajczyk — *będziemy chcieli wejść z budownictwem mieszkaniowym do śródmieścia.*

Pabianice mają centrum, ale jest to raczej „środek" miasta, centrum w pojęciu geograficznym a nie w pojęciu funkcjonalnym. Takie centrum dopiero powstanie.

— *W 1974 roku* — opowiedział mi prezydent Pabianic, Stanisław Fronczak — *ogłosiliśmy konkurs na opracowanie projektu przebudowy Pabianic. Zgłosiło się siedem zespołów. Wybraliśmy najlepsze rozwiązanie i powoli je realizujemy. Ale zaczęliśmy pracę jakby od końca. Jeśli plac Obrońców Stalingradu stanowić będzie fragment centrum, to my zbliżamy się do tego centrum od końca, od strony południowej. Mamy bowiem dobre warunki dla rozwijania budownictwa mieszkaniowego. Stawiamy więc nowe domy, aby jak najprędzej i najwięcej dać ludziom mieszkań, bo to jest największy problem. We wtorki, kiedy jest dzień przyjęć mieszkańców, przyjmujemy z wiceprezydentem Radosławem Januszkiewiczem do 80 osób i w zdecydowanej większości przychodzą ludzie ze sprawami mieszkaniowymi. Mamy obecnie w Pabianicach 18 bloków w budowie, to będzie około 700 mieszkań.*

Były też lata chude, kiedy stawiano znacznie mniej mieszkań. W 1979 roku oddano 1.300 mieszkań. Na rok 1980 założono — plan jeszcze nie jest zatwierdzony — postawienie około 830 mieszkań. Może uda się zrobić więcej, bo Pabianice otrzymały pozwolenie na stawianie bloków wysokich. A poza tym w Pabianicach do wykończania mieszkań zaangażowała się młodzież z pabianickich fabryk. Jeśli ktoś ma prawie 3-letni staż w spółdzielni mieszkaniowej, to może swoją pracą przyspieszyć tempo budownictwa mieszkaniowego i przyspieszyć sobie otrzymanie mieszkania. W ciągu roku od przystąpienia do udziału w wykończaniu mieszkania powinien otrzymać mieszkanie dla siebie. I to bardzo pomaga.

A na mieszkanie w Pabianicach czeka się 8 lat. Czeka na mieszkanie 8 tysięcy członków i kandydatów Pabianickiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Są wśród nich młodzi pabianiczanie, którzy założyli rodzinę i chcą się usamodzielnić, są specjaliści, którzy chcieliby osiąść w Pabianicach, są też i tacy, którzy po wojnie oddelegowani zostali do rozbudowującego się w kraju przemysłu lekkiego, bądź na Ziemie Zachodnie i teraz chcieliby wrócić. Mieszkania dostają też ludzie z domów przeznaczonych do rozebrania. A takich w Pabianicach jest niemało. Ustalono, że trzeba będzie rozebrać 800 domów, które są już w złym stanie technicznym. Ale też rozbiera się domy, które stoją na terenie przeznaczonym pod nowe budownictwo.

— *Jakieś 8 lat temu* — mówi Stanisław Fronczak — *obchodziliśmy w Pabianicach uroczyście oddanie półmilionowego metra kwadratowego powierzchni mieszkaniowej wybudowanej po wojnie. Teraz zbliżamy się do milionowego metra kwadratowego. I jest to milion metrów kwadratowych wybudowanych po wojnie netto, a więc po odliczeniu powierzchni rozebranej w starym budownictwie. Zrobiliśmy więc sporo, a zrobić trzeba jeszcze więcej.*

Pora zaprezentować statystyczny portret miasta. Pabianice obejmują 24,7 km kwadratowego powierzchni, na której mieszka — według danych z 1978 roku, bo takimi dysponuje „Rocznik statystyczny województwa miejskiego łódzkiego 1979" — 68,5 tys. osób. Na 1 km kwadratowy przypadają więc tutaj 2.774 osoby, podczas, gdy w Łodzi — 3.851, a w miastach województwa wziętych razem — 3.031 osób. Pabianice są miastem pracujących kobiet, gdyż pracuje ich tutaj 52 procent wszystkich zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej, a zatrudnienie w tej gospodarce wynosi 33,4 tys. osób.

Co jeszcze można powiedzieć o Pabianicach? Że na 1.000 mieszkańców jest tutaj 51,3 aparatów telefonicznych. To nie jest dużo. W całym województwie na 1.000 mieszkańców przypada 78,1 telefonów, w miastach województwa — 84,3, a w Łodzi — 93,3 telefonów. Natomiast w miastach całego kraju na 1.000 mieszkańców przypada 136,8 telefonów.

Są tutaj 22 zakłady gastronomiczne z 1.378 miejscami. Statystycy więc obliczyli, że na 1 miejsce w pabianickiej gastronomii przypada 50 osób, podczas, gdy w całym województwie 45. Obliczyli oni też, że w 1978 roku jeden pabianiczanin wydał w gastronomii 1.060 zł, a jeden mieszkaniec województwa 1.294 zł. Można byłoby z tego wnosić, że pabianiczanie są oszczędniejsi, bo jeden mieszkaniec miast województwa miejskiego łódzkiego wydał w tym czasie 1.371 zł. Ale można też założyć, że przyczyną jest mała ilość miejsc w gastronomii.

Ze statystyką sprawy są bowiem dość skomplikowane. Ze statystycznych danych wynika na przykład, że w Pabianicach jest 161 miejsc noclegowych. Niby sporo. W pobliżu jest Łódź, gdzie w nie tak odległym czasie wybudowano dwa hotele. Ale w Pabianicach nie ma hotelu. A przydałby się. W planie przebudowy Pabianic o hotelu nie zapomniano. Teraz nie ma warunków na jego budowę. Ale w ogóle — moim zdaniem — rezygnować z budowy hotelu nie ma powodu. Do Pabianic przyjeżdżają goście z całego kraju, a także zagraniczni specjaliści oraz kontrahenci. Gdyby w Pabianicach był hotel, korzystałaby z tego i Łódź.

Albo inny przykład. Statystyka podaje, że Pabianice dysponują znaczną powierzchnią sklepów. Posiadają jej 26,1 tys. metra kwadratowego, to jest niemal tyle, co Widzew, który posiada jej 26,9 tys m kw. Ale, jak się weźmie inny wskaźnik: ilość metrów kwadratowych powierzchni sklepowej przypadającej na 1.000 mieszkańców, to okaże się, że sprawa wygląda zupełnie inaczej. Pabianice mają powierzchni sklepowej — licząc na 1.000 mieszkańców — 381 m kwadratowych, więcej niż niektóre łódzkie dzielnice, ale mniej niż inne miasta województwa. Ot, choćby w Głownie jest tej powierzchni 432 m kwadratowe.

Pabianice się rozbudowują. W zachodniej części miasta handel i usługi rozbudowano zgodnie z potrzebami. Zrobiono to przed laty, kiedy budownictwo tego typu miało lepsze warunki. Na wschodzie miasta, gdzie teraz buduje się nowe osiedla, jest gorzej.

— *Ale już od tego roku* — mówi Stanisław Fronczak — *powinno się poprawić. Rozpoczynamy budowę trzech pawilonów: spożywczego, gastronomicznego i z artykułami przemysłowymi. A w przyszłości, w rejonie osiedla Bugaj III, budować się będzie szkołę, pocztę i przychodnię rejonową. W niedługim czasie będziemy musieli też rozwiązać problem handlu w rejonie Starego Miasta, za rzeką Dobrzynką. Tam też trzeba będzie budować sklepy, zakłady usługowe, pawilony.*

Statystyka sygnalizuje jednak pewne problemy. Oto z danych statystycznych wynika, że w Pabianicach jest 1.241 miejsc w przedszkolach, ale dzieci w tych przedszkolach jest 1.885. Albo: Pabianice dysponują 400 miejscami w żłobkach, a dzieci jest tam 476. Z tego wynika niezbicie, że żłobki i przedszkola są przeciążone.

— *Istotnie* — stwierdziła Jadwiga Błoch, sekretarz do spraw ekonomicznych Komitetu Miejskiego PZPR w Pabianicach — *brakuje nam miejsc w żłobkach i przedszkolach. A w mieście, gdzie wśród pracujących przeważają kobiety jest to bardzo trudny problem. Nasz największy zakład, „Pamotex", wystartował w 1980 rok z brakiem 130 osób. Brakuje ludzi do pracy w innych fabrykach. Niedaleko przecież buduje się Bełchatów i tam też brakuje ludzi do pracy, a płace są tam wyższe niż w pabianickich fabrykach. Musimy więc zwiększać ilość miejsc w żłobkach i przedszkolach, aby kobiety pracujące nie musiały porzucać pracy. Zakładamy, że gdzieś w 1981 roku powinniśmy w Pabianicach stworzyć tyle miejsc w żłobkach, ile będzie potrzeba. Ale zapotrzebowania na miejsca w przedszkolach nie zaspokoimy tak szybko. Dlatego szukamy innych rozwiązań. Uważam, że wiele pomogłoby kobietom chałupnictwo. Miałyby pracę w domu i mogłyby się zajmować dziećmi. I tak będziemy robić.*

Pabianice są dużym ośrodkiem przemysłowym. Rocznie pabianicki przemysł daje produkcję wartości przeszło 14 miliardów złotych, to jest 8 procent wartości produkcji całego województwa miejskiego łódzkiego.

Co stanowi specjalność Pabianic?

Przede wszystkim bawełna, czyli „Pamotex".

— *W Pabianicach* — powiada Danuta Mikołajczyk — *w każdej niemal rodzinie ktoś pracował w bawełnie, pracuje albo będzie pracował. To jest fabryka, która sama daje produkcję wartości 4 miliardów złotych. Pracuje tam przeszło 6 tysięcy ludzi. To jest fabryka z tradycją.*

Poza tym do specjalności pabianickich należą maszyny drogowe, produkowane przez „MADRO", żarówki wytwarzane w „POLAMIE", lekarstwa z „POLFY", noże tokarskie z pabianickiego oddziału Kombinatu „VIS", środki opatrunkowe, tkaniny techniczne, obrabiarki z pabianickiego oddziału Kombinatu „JOTES". A będą jeszcze części do kolorowych telewizorów, jako że łódzka „FONICA" rozpoczyna tutaj budowę swego oddziału, który takie właśnie podzespoły będzie produkował. Budują się aktualnie Zakłady Tkanin Technicznych.

Buduje się też Szpital Miejski wraz z Pogotowiem Ratunkowym. A będzie to bardzo ładny i dobrze wyposażony szpital.

Taki ośrodek przemysłowy musi mieć dobrą komunikację, aby można było ludzi dowieźć do pracy, a potem do domu, towary i zaopatrzenie porozwozić. Do miejskich ciepłowni wozi się na przykład węgiel co 7 minut, do elektrociepłowni „Pamotexu" — co 3 minuty. Pabianice — jak niegdyś Łódź — rozwijały się wzdłuż traktu. Łódź wzdłuż traktu piotrkowskiego, Pabianice wzdłuż traktu na Sieradz. Przez Pabianice przebiega droga E-12, a teraz — dodatkowo niejako — droga z Łodzi do Bełchatowa. Ulica Partyzancka zatłoczona jest do ostatnich niemal granic. Z nadzieją się więc czeka tu na budowę obwodnicy, po której omijać będzie Pabianice ruch tranzytowy. Mają Pabianice tramwaj, który tu z Łodzi przyjeżdża, mają dwie linie autobusowe. I kłopoty podobne do łódzkich. Ale w przeciwieństwie do Łodzi nadzieje pokłada się tu nie w rozwoju komunikacji tramwajowej, a autobusowej. Potrzebna już jest trzecia linia. Narzeka się więc w Pabianicach na komunikację miejską nie mniej niż w Łodzi.

Pabianicki tygodnik „Życie Pabianic" zamieścił niedawno anons pt. „Teatr „RETRO" — zaprasza". „RETRO" występuje w sali Spółdzielczego Domu Kultury, a prowadzi go Zygmunt Stawiszewski, emerytowany ekonomista, wielki miłośnik teatru, od wielu lat działający w ruchu amatorskim. W programie: „Wieczór humoru i piosenki" wyreżyserowanym przez Zygmunta Stawiszewskiego — donosiło „Życie Pabianic" — *„usłyszymy i zobaczymy m.in. arie operetkowe, inscenizacje marynarskie i cygańskie, monologi oraz skecze"*

Baza dla działalności kulturalnej jest tu wprawdzie skromna, ale są ciekawe inicjatywy. Przydałby się Pabianicom dom kultury z prawdziwego zdarzenia. Swego czasu myślano o wybudowaniu międzyzakładowego domu kultury, zaczęto gromadzić fundusze, zebrano 18 milionów, ale pilniejsze zadania zmusiły do zmiany planów. Dziś na taki cel potrzeba byłoby kilkakrotnie więcej pieniędzy.

W trudnych warunkach pracuje miejska biblioteka.

— *Niedługo już poprawią się warunki w bibliotece* — mówi Stanisław Fronczak — *adaptujemy na ten cel przedwojenny budynek szkoły. Powoli wyprowadzamy stamtąd mieszkańców. Po adaptacji biblioteka będzie miała lepsze warunki do przechowywaniu księgozbioru, będzie czytelnia, lepsze warunki do wypożyczania książek.*

A pabianickie inicjatywy?

Ciekawe wystawy organizuje Muzeum Regionalne. Klub MPiK prezentuje aktualnie dorobek poszczególnych przedsiębiorstw i fabryk. Od 6 lat organizowane są konkursy na instrumenty dęte, w których biorą też udział muzycy z NRD i Węgier. Organizuje się Dni Pabianic, które są okazją dla dokonania przeglądu działalności artystycznej miasta, ale nie tylko.

— *Szukamy ciągle jeszcze najlepszych form dla tej imprezy* — mówi Danuta Mikołajczyk — *ale Dni Pabianic weszły już do tradycji miasta.*

W parku Wolności wybudowano amfiteatr, przy stadionie Włókniarza piękny kryty basen, a przy stadionie Pabianickiego Towarzystwa Cyklistów basen odkryty.

— *Tylko żeby ten Włókniarz utrzymał się w drugiej lidze* — martwi się Ryszard Binkowski, pisarz i dziennikarz mieszkający w Pabianicach, a pracujący w „Odgłosach" — *bo jak do tej pory nie wiedzie mu się najlepiej.*

Natomiast pabianickie koszykarki grają w I lidze. Rozwija się tu poza tym szermierka, tenis stołowy. Powstał piękny ośrodek sportów wodnych WOSiR na Bugaju, gdzie można wypocząć latem i zimą.

— *Żeby zobaczyć, co się w Pabianicach zmienia* — mówi Danuta Mikołajczyk — *trzeba zjechać z ulicy Partyzanckiej i pojeździć trochę po mieście. A jeszcze lepiej pospacerować. Wtedy Pabianice ukazują się w zupełnie innym świetle. Ale niedługo wejdziemy ze zmianami i do śródmieścia.*

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

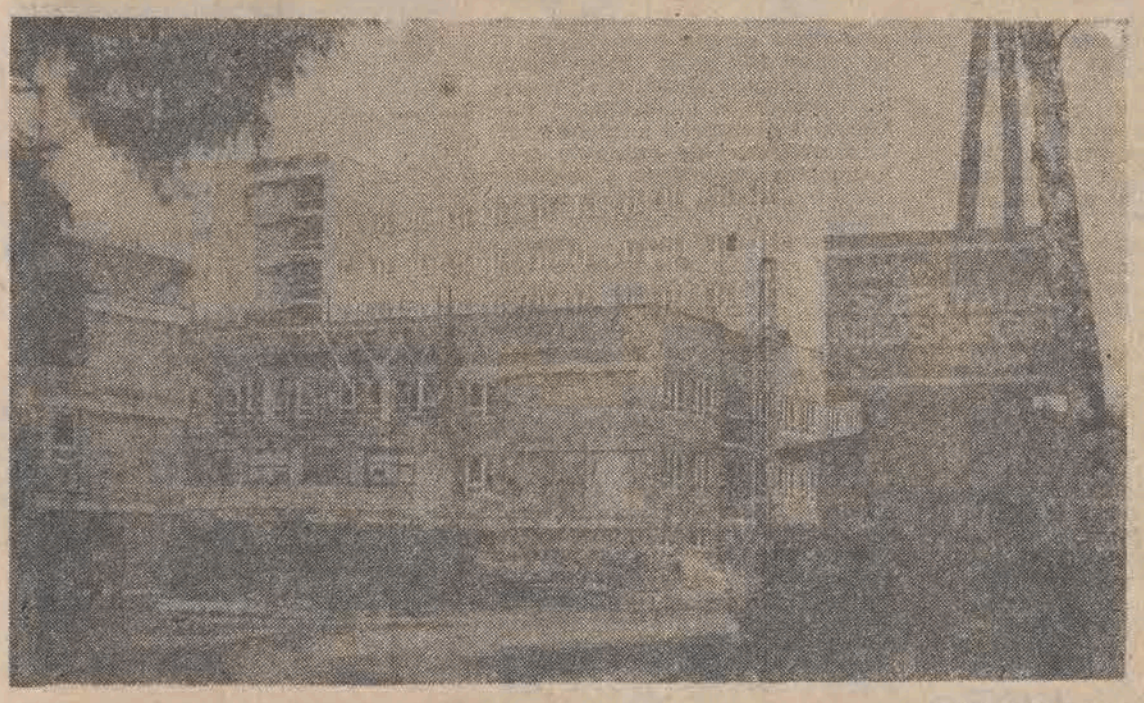

Foto: S. Czekalski

MOJA UKOCHANA ŻONECZKA — MÓJ DOBRY MĄŻ

Dalszy ciąg ze str. 1

czapce z opuszczonymi nausznikami, człowiek ze złotą trąbką przy ustach. Wokół niego kręciło się kilkoro dzieci. Niektóre przerwały zabawę i teraz z uwagą i z malującym się na twarzyczkach podziwem i zdziwieniem obserwują dziwnego pana, który gra swoje smutne melodie.

Gdy trębacz skończył koncert i zaczął przedmuchiwać połyskującą złotą trąbkę, z okien zaczęto rzucać zawinięte w papier monety. Ktoś bił brawo, inny wykrzykiwał tytuł utworu, który chciał usłyszeć. Dzieci pomagały muzykowi zbierać z ziemi papierowe kulki. Podobało się tu granie trębacza.

Rzuciłem i ja zawiniętą w papier monetę.

Słońce chowało się za sąsiednie bloki. Ostatnie jego promienie odbijały się czerwienią w oknach trzech najwyższych pięter. Chciałem przedłużyć ten kwartet, by dźwięki trąbki towarzyszyły zachodowi słońca. By z nim współgrały, by mu wtórowały. Bałem się, że muzyk przerwie popis i pójdzie dalej. Że się rozmyśli, a może uzna, iż jest już zmęczony i pora mu pójść odpocząć w domu. Właśnie... gdzie mieszka? Kim jest?

Narzuciłem na ramiona kurtkę i pośpiesznie zbiegłem po schodach.

Stał w tym samym miejscu i jakby wyczuwał nastrój chylącego się ku końcowi dnia, żegnał go znaną melodią *Silencium*. Gdy skończył, podszedłem do niego i podziękowałem za koncert. Powiedziałem, że jestem dziennikarzem i że chciałbym go bliżej poznać. Poprosiłem o adres.

Adres: Nowotki 44, zapisany obok nazwiska: Franciszek Staniszewski, przeleżał w moim notesie blisko rok, a może i dłużej.

2.

Stary, wiszący zegar wybija godzinę ósmą. W radiu Tadeusz Sznuk mówi: *Słuchacie Sygnałów Dnia.*

— *Franusiu, co będziemy jedli na śniadanko? Na co masz apetyt?*

— *Może mleko wypijemy. Ja najchętniej z miodem.*

— *Ja, niestety, z miodem nie mogę. Wypiję z masełkiem. Siadaj przy stole, zaraz przyniosę kubek.*

Pani Pelagia żwawo drepcze w stronę kuchni. W drzwiach staje i pyta męża:

— *Chlebek będziesz jadł czy bułeczki? Bo mam i to i to.*

— *Chlebek z masełkiem i z serkiem.*

Pan Franciszek kończy śniadanie i wstaje od stołu.

— *No to ja już, Poluchna, pójdę... Dziękuję za śniadanko, dobre było. Bardzo dobre.*

— *To idź, kochanie. Zapnij się, bo może być wiatr. Idź z Bogiem. Do zobaczenia.*

3.

Pani Pelagia sprząta. Zanosi talerze i kubki do kuchni. Każdy kawałek chleba chowa skrzętnie, by się nie zmarnował. Tego nauczyła ją matka. To wyniosła z domu, który był na Kresach wschodnich.

— *Nie narzekam. Nie mamy wprawdzie luksusów, mąż bierze 1.349 złotych renty, ponieważ na inwalidztwie jest, ja biorę 1.706, dlatego, że ze starego portfela... Tak... Z zawodu bibliotekarką jestem. No, ale mąż, chwała Bogu, umie grać, więc trochę muzyką dorabia. I tak żyjemy. I pomocy od nikogo nie potrzebujemy. Jeszcze staramy się, chociaż nie jesteśmy bogaci, innym coś dać. Bo u nas tak... gość w domu, Bóg w dom. Taka stara nasza zasada jest.*

Gwiżdże czajnik. Woda zagotowana. Po chwili, na białym obrusie, pojawia się szklanka aromatycznej, parzonej po *turecku*, mocnej, aż smolistej kawy. Gospodyni dla towarzystwa pije herbatę.

— *Ludzie lubią, jak mąż gra. Czasem razem grywamy, tylko że pianino z trąbką zharmonizować trudno. Żebym ja te wszystkie Szopenowskie rzeczy mogła grać, mój Boże! To bym taka szczęśliwa była! Kocham przyrodę, kocham kwiaty, kocham zboża, kocham wodę — wprost za nią szaleję — bo byłam chowana tam, gdzie było dużo wód, lasów było pełno, więc dlatego kocham przyrodę. A jak ktoś kocha przyrodę, to i muzykę kocha. Jak tylko wolną chwilę mam, to siadam przy pianinie, zwłaszcza jak mąż przychodzi podenerwowany, bo w życiu rozmaicie bywa, to ja wtedy mężowi staram się pograć takie rzeczy łagodne, kojące i mąż wtedy spokojnie zasypia, i tak kończy się nasz dzień.*

4.

Pan Franciszek poszedł w górę Nowotki, w kierunku na Stoki. Przeszedł przez rondo, obok kościoła św. Teresy i poszedł dalej, do Matejki. Dopiero wtedy skręcił w lewo. Ale nie rozpoczął koncertu na zapleczu stacji obsługi samochodów na Strykowskiej. Choć stoją tu czteropiętrowe bloki, blisko jeden drugiego, to jednak zbyt wiele tu samochodów, których warkotliwe motory mogą zagłuszyć dźwięk trąbki. Trzeba iść dalej, Lubeckiego w stronę ulicy Tamka.

Otwiera futerał i z flaneli wyjmuje trąbkę. Czyni to powoli, z namaszczeniem, delikatnie.

— *To jest trąbka o klawiszach obrotowych. Ma miejsca srebrne i żółte. Bo będąc na Wybrzeżu, gdzie koncertowałem, idąc nieuważnie, potłukłem się i ta trąbka też się potłukła. Dlatego musiałem ją kazać reperować. Ale dobrze gra.*

Przykłada ustnik do warg, nadyma policzki i wydobywa z trąbki metaliczny ton.

— *Ładny ma dźwięk, prawda? Ja o tym od dawna marzyłem. Często widziałem, jak idzie orkiestra pogrzebowa, bo mieszkałem na Bałutach, niedaleko cmentarza. Więc to granie tej orkiestry tak mi weszło w ucho, że postanowiłem, że gdy tylko będę miał odpowiednią ilość lat, to zacznę się uczyć gry na instrumencie i będę grał w takiej orkiestrze. Takie miałem marzenie. Bo ta orkiestra mnie ukojała. Teraz, jak gram, to też podobne uczucie mam.*

Zanim pan Franciszek przyłoży trąbkę do ust i rozpocznie swój koncert, wcześniej dokładnie rozgląda się wokoło. Stara się wybadać, czy miejsce, które obrał na swój występ, jest odpowiednie. Czy w pobliżu nie ma budki z piwem, przy której zbierają się podpici szukający zaczepki, ci którzy lubią poszumieć, rozrabiać, czy nie ma psów, które poszczute mogą pokąsać, a w najlepszym wypadku poszarpać spodnie, czy nie ma nieżyczliwego milicjanta-służbisty.

— *Staram się grać w takim czasie, żeby nie przeszkadzać nikomu. Ale bywają takie momenty, że ktoś ma do mnie pretensje. Wtedy grzecznie przepraszam i odchodzę. Ludzie mnie nawet proszą do siebie do domu.*

Pan Franciszek zaczyna swój koncert od *Silencium*. Potem gra *Serce, O matce pieśń, Tango milonga. Ta ostatnia niedziela.* Mimo chłodu otwierają się okna. Ludzie, narzuciwszy na siebie kurtki, płaszcze, stoją na balkonach. Przechodnie zdziwieni, zaskoczeni, przystają i słuchają tego niezwykłego koncertu.

5.

Pani Pelagia siada przy pianinie. To jedyna rzecz, oprócz makatek ręcznie przez nią haftowanych, którą przywiozła z rodzinnego Wilna. Czarne pudło, misternie rzeźbione, bogato ornamentowane. Klawisze pożółkły ze starości. Niezbyt sprawne palce z trudem wyszukują akordy. Stukot rozklekotanych klawiszy nakłada się na dźwięki rozstrojonych strun. Ale melodię można wyłuskać, zrozumieć. Pani Pelagia podpowiada tytuł granego utworu: *Czemu sercu smutno* Szopena.

— *Dawne lata. Mój Boże... Młodość! Jak szybko ona przeszła. Przefrunęła. Kiedyś szalenie marzyłam operetkową artystką być, „Słowiczkiem" mnie nazywali, Ale, niestety, nie było kogoś, kto by się mną zajął. Każdy mówił: ma talent, talent ma... ładnie tańczyłam, nikt mnie nie uczył a tańczyłam. Na rautach, na balach... zwłaszcza z ułanami lubiłam. Miałam jednego, ślicznego jak z obrazka, to był rotmistrz. Bardzo ja się jemu podobałam i on mnie podobał się też. Zmarł. Zaczadził się. Widocznie ułan nie był mi pisany. W 1939 roku znowu drugiego ułana miałem. Narzeczonego. Drugiego września miałam wychodzić za mąż. Wojna. Zabrali go na te pierwsze boje. Zginął.*

6.

Z Lubeckiego, idąc w dół ulicą Tamka, od strony ulicy Telefonicznej jest bardzo blisko do bramy cmentarza na Dołach. Po skończonym koncercie tam właśnie kieruje się pan Franciszek. Jest cicho, spokojnie, nikt nie przeszkadza, są ławeczki, na których można siąść i odpocząć. Wyciągnąć z kieszeni zawinięty w papier kawałek chleba i zjeść drugie śniadanie. Tam wreszcie można, gdy już głód zaspokojony, zmrużyć oczy i przywołać z pamięci czas przeszły.

Kiedy wojna wybuchła, jako kilkunastoletni chłopak rozpoczyna pracę w zakładzie fryzjerskim. Nie ma jednak do tego fachu smykałki, więc po miesiącu szefowa zakładu mówi mu: *Franuś, ty się fryzjerstwa nigdy nie nauczysz, lepiej ty, Franuś, zbieraj grzybki.* Ojciec, który był szewcem i pracował w fabryce obuwia, postanawia wziąć syna do siebie i nauczyć nowego zawodu. Franek już umiał skręcać dratwę, wbijać szpilki, ale majster stwierdził, że nie będzie z niego dobry robotnik. Chodził więc Franek do prywatnego warsztatu szewskiego, czeladniczył, ale i tu długo miejsca nie zagrzał. Wtedy ojciec powiedział: *Nie martw się, wybierzesz sobie lepszy zawód niż szewstwo. Już ja ci coś odpowiedniego znajdę.* Franek zaczął pracować na poczcie. Rozdzielał listy.

— *Zacząłem pracę na Łodzi — Jeden. Długo tam pracowałem. Kiedyś, na podwórku poczty zauważyłem człowieka z mandoliną pod pachą. Doszło do niego jeszcze kilku kolegów. Stali i opowiadali sobie, jakie próby mają, kiedy będą grać. Ja się do tej rozmowy przyłączyłem i podpowiedziałem, że chciałbym się uczyć na klarnecie. Oni mi na to, że muszę iść do kapelmistrza Rakoczego. Poszedłem i nawiązałem kontakt z panem Rakoczym. Powiedziałem, że chcę się uczyć na klarnecie, a on mi na to: „Bardzo ładnie, że chce się pan uczyć, bo nieraz chęci znaczą więcej jak zdolności. Trzeba tylko chcieć pracować, to się osiągnie dużo". Ale klarnetu nie miał. Pokazał mi inne instrumenty: duże, małe, i pierwszą lepszą trąbkę dał i kazał mi wydobyć ton. I powiedział tak: „Jakikolwiek ton panu wyjdzie, niech pan tak długo ciągnie, jak długo panu siły starczy". I wtedy udało mi się wydobyć nutę G.*

Pan Franciszek przeszedł Strykowską, obok stacji benzynowej, skręcił w Źródłową i wszedł między bloki pobudowane w trójkącie ulic: Nowotki, Źródłowa, Wierzbowa.

— *No więc, ucząc się na tej trąbce u pana Rakoczego Stefana, na poczcie, po jakimś czasie dyrygent stwierdził, że słabo pojmuję, że nie wyliczam dobrze taktu, że nie daję sobie rady w rytmie, palcowanie mi nie wychodziło jak trzeba... No i po pół roku nie miał już cierpliwości mnie uczyć i kazał mi nie przychodzić. I na tym tle miałem konflikty i nieporozumienia. Ciężkie życie. Zawsze miałem z kimś konflikty. W domu miałem konflikty, w szkole miałem konflikty, w pracy miałem konflikty. I bardzo byłem wrażliwy na wszelkiego rodzaju przykrości. Jak ktoś na mnie krzyknął czy postraszył, to już płakałem. I dzisiaj jeszcze tak jest. I mimo, że mam pięćdziesiąt jeden lat, to często popłakuję. Jak mi coś nie wychodzi. Bardzo się cieszę, jak mi się coś uda, jak mnie chwalą, jak mi coś wyjdzie, to jestem z siebie zadowolony, że potrafię coś z siebie dać.*

Dźwięk trąbki rozlega się na tyłach bloków. Przeciągły ton słychać aż pod *Delikatesami* i przy *kościele św. Teresy.* Jest *Silencium, O matce pieśń*, ale już nie ma *Serca, Tanga milonga*, ani pozostałych melodii. Bo oto z pierwszego piętra wychyliła się przez okna kobieta i ruga muzyka: *Wynoś się pan stąd! Co mi pan dziecko budzi!* Kobietę popiera mężczyzna z trzeciego piętra. On też ma pretensje. *Ledwo człowiek zasnął po nocnej zmianie, a tu go taki cymbał budzi.* Pan Franciszek urywa melodię. Kłania się nisko i zdławionym ze strachu głosem mówi: *Bardzo państwa przepraszam.* Wylękniony, drżącymi rękami zawija we flanelę swoją złotą trąbkę.

7.

Pani Pelagia stoi w *Delikatesach* w kolejce po masło, ser i pieczywo. Słyszy jak mąż gra i nagle grę przerywa. Coś się musiało stać. Ale co? Może znów Franuś pójdzie na kolegium?

— *Mój mąż jest trochę nerwowy. Leczył się na nerwy, nawet był w szpitalu, bo go byle co potrafi wyprowadzić z równowagi. Za bardzo*

Dalszy ciąg ze str. 1

Osiągałem korzyści finansowe w ten sposób, że niektórzy kierowcy nie pobierali całości paliwa na jaką kazali wypisać rachunek. I tak dla przykładu kierowca pobierał tylko 80 litrów benzyny, a chciał rachunek na 100 litrów. Ja wystawiałem a on płacił za 80 l, po właściwej cenie, a za pozostałe 20 l, które pozostawały w stacji płaciłem 4 zł za litr. W taki sposób kierowca np. zarabiał (przy cenie 12 zł za litr) 8 zł na litrze. Mój zysk wynosił tylko 4 zł, gdyż paliwo sprzedawane innemu kierowcy przechodziło przez licznik w dystrybutorze i obciążało mnie 12 zł za litr.

Ale w miarę jak rosła liczba podejrzanych i zatrzymanych, zagmatwany zrazu obraz sprawy stawał się dla prowadzących dochodzenie coraz wyrazistrzy. Inicjatywę własną — niektórych nieuczciwych ajentów stacji benzynowych oddzielono od udziału w zorganizowanym przestępstwie. Ustalono, że fałszywe rachunki pojedyńcze lub po kilkanaście rozprowadzał wśród kierowców i niektórych ajentów — „Leszek". Ajenci odstępowali rachunki kierowcom, dzieląc się po połowie zyskiem z „Leszkiem"; podobnie działali kierowcy.

Najczęściej w zeznaniach powtarzało się nazwisko Lesława Mariusza Ukleji. Wobec tego postanowiono podejrzanego Lesława Ukleję zatrzymać. Ten jednak ukrywał się.

Włamanie

Tymczasem w „Budomaszu" trwała kontrola rachunków. Wiadome było, że nadużycia ciągnęły się od prawie 5 lat. Na początku marca ubiegłego roku na plac budowy, na którym pracował 27-letni Marek Błoch, operator koparki, przyszedł Lesław Ukleja.

— *W „Budomaszu" kontrolerzy sprawdzają rachunki na paliwo, warto by obejrzeć to pomieszczenie, w którym znajdują się zabezpieczone dokumenty i zobaczyć czego tam szukają* — powiedział Błochowi.

Po kilku dniach Ukleja zjawił się ponownie. — *Wykryli fikcyjne rachunki i jeżeli nie chcesz siedzieć, to powinniśmy te rachunki skraść i zniszczyć* — oznajmił koledze.

Na teren zakładu weszli nocą od ul. Sekwestatorskiej. Po drabinie, która „przypadkiem" znajdowała się przy hali napraw samochodów dostali się na dach. Dach hali przylega do budynku biurowego. „Przypadkiem" w biurowcu okno ubikacji na I piętrze było otwarte. Na II piętrze jedno z pomieszczeń zaplombowane. To tu. Wybijają szybę w drzwiach. Naraz słychać kroki. To portier zaniepokojony hałasem — rozgląda się po holu. Ukleja i Błoch ukrywają się w ubikacji. Wychodzą po pewnym czasie. Ukleja otwiera zatrzask. Są w środku. Pakują do worków segregatory z dokumentacją. Cały czas „pracują" w rękawiczkach by nie zostawić śladów...

W krzakach przy mostku na ul. Tomaszowskiej ukryli pełne rachunków worki. Rano Błoch przyjechał koparką. Tu przy EC IV jeździło sporo ciężkiego sprzętu budowlanego i koparka nie wzbudziła podejrzeń. Wiozą worki na wysypisko śmieci, leją benzynę i palą.

Czy zniszczenie dokumentów miało wpływ na przebieg śledztwa?

Wiceprokurator wojewódzki Czesław Zalewski, który tę sprawę prowadzi, mówi:

— *Oczywiście, że musiało to wpłynąć ujemnie na wyniki śledztwa, utrudniło nam ustalenie wysokości nadużyć popełnionych przez inne osoby. Nie przyniosło natomiast to włamanie żadnej korzyści oskarżonemu Ukleji, gdyż znaliśmy już m. in. numerację skradzionych in blanco kwitów.*

— Czy Ukleja pracujący w „Budomaszu" w charakterze starszego technika do spraw kontroli technicznej nie zdawał sobie sprawy z tego, że nie uda mu się całkowicie zniszczyć dowodów rzeczowych przeciwko sobie?

— *Myślę, że dokonując włamania i zniszczenia dokumentacji przestępca chciał osiągnąć również inny cel — stworzenie pozorów, że przestępstwo popełnione zostało tylko w „Budomaszu". Intensywniej zaczęliśmy więc kontrolować w innych przedsiębiorstwach. I było to dobre posunięcie. Nadużycia wykryliśmy w czterech innych zakładach.*

Bez hamulców

Pierwszy raz Lesław Mariusz Ukleja (urodzony 25 maja 1936 r.) stanął przed sądem w październiku 1953 r., oskarżony o włamanie do stacji obsługi radiotechnicznej. Wymierzono mu karę trzech lat.

W maju 1958 r. Sąd Najwyższy wymierzył mu karę łączną 7 lat więzienia za kilka przestępstw wśród których znalazły się:

— sfałszowanie we wrześniu 1956 roku własnego dowodu nr ECO 504146, który przerobił na nazwisko Wiesław Odklejowski i który używał jako autentyczny;

— fałszerstwo innego dowodu wystawionego na nazwisko Piotr Wysocki, który przerobił na imię Piotr Wytoczkiewicz;

— fałszerstwo legitymacji studenckiej, do której wpisał swoje nazwisko, ale z innym imieniem.

Ten łączny wyrok obejmuje również kradzież broni w komendzie milicji w Kielcach i ucieczkę z aresztu w październiku 1956 r., a także napad w Kutnie z bronią w ręku na Helenę J., (której zrabował utarg 8844 zł z Łódzkich Zakładów Kolejowych w Kutnie) oraz rabunek z baru mlecznego „Spokojnego" w Warszawie 1300 zł utargu.

Po odbyciu kary kilku lat pozbawienia wolności, Ukleja, technik samochodowy z zawodu, rozpoczął pracę w Przedsiębiorstwie Remontowo-Budowlanym Przemysłu Maszynowego „Budomasz" w Łodzi w charakterze starszego technika do spraw kontroli technicznej. Zajmował się w tym czasie m. in. odbiorem pojazdów należących do tej jednostki, a naprawianych w różnych warsztatach. 16 października 1974 r. pojechał do Głupczyc po odbiór samochodu ciężarowego. W drodze powrotnej, w nocy z 16 na 17 października, zatrzymał się przed Stacją Benzynową nr 250 w Głogówku. Stacja, czynna do godz. 22, była już zamknięta. Ukleja podnosi płytę betonową, wybija szybę i wchodzi do wnętrza, aby włączyć prąd w dystrybutorze. Na stole widzi jednak kilkadziesiąt bloczków rachunkowych na zakup paliwa oraz różne pieczątki. Kradnie je.

Po przyjeździe do Łodzi wchodzi w porozumienie z kierowcami i operatorami sprzętu budowlanego i od jesieni 1974 r. do końca marca 1979 r. fałszuje skradzione rachunki, wypełnia je i „odstępuje" niektórym kierowcom i ajentom stacji benzynowych. Na podstawie tych rachunków wyłudzono z przedsiębiorstw pieniądze, z których połowa wędrowała do organizatora tych machinacji. Oczywiście — rachunki były zręcznie fałszowane, w pieczątce „Opolskie Przedsiębiorstwo Obrotu Produktami Naftowymi" Ukleja wyciął słowo „Opolskie" i wstawił „Łódzkie". Numer stacji 250 zmieniał na 203 lub 261, fałszował także numery rachunków.

Na początku maja tempo w toczącym się śledztwie o nadużycia benzynowe nieco osłabło. Powodem tego było zaangażowanie całego aparatu ścigania w wykrycie sprawy napadu na strażnika Kombinatu Maszyn Włókienniczych „Polmatex-Wifama" przy ul. Armii Czerwonej nr 89. Po zadaniu kilku ciosów tępym narzędziem i nożem, w dniu 8 maja, w biały dzień, zrabowano strażnikowi pistolet służbowy PW-38 nr PC 01927 i 16 sztuk amu-

się wszystkim przejmuje. Jak pracował na poczcie, to go radio irytowało, że gra w pokoju, miał zatargi z kierownikami. Ale ja go potrafię zrozumieć, bo on dużo przeszedł w życiu. Mnie Pan Bóg dał pogodny charakter, ze wszystkim potrafię pogodzić się i raczej jestem optymistką, więc muszę tej radości życia mężowi dodawać, troszkę tej odwagi, tego bodźca do życia, bo inaczej to nasze życie byłoby bardzo smutne. Jeden nerwowy, załamany, ponury, taki pesymista, to jak drugi taki będzie — to już nic tylko się wieszać. A przecież życie jest piękne i mądre.

8.

Złota trąbka, owinięta w kraciastą flanelę, leży zamknięta w futerale. Dziś pan Franciszek już jej nie wyjmie. Na osiedlu im. Matejki ludzie byli zadowoleni, uhonorowali go jak należy, więc właściwie nie był to zły dzień. A że tam akurat dziecko spało... kobiecina miała rację, nie ma się co na nią gniewać. Teraz tylko trzeba uspokoić rozdygotane nerwy i zagłuszyć lęk, który pustką zapada się w piersiach. Trzeba usiąść na ławce w pasażu, obok *Wieży Babel*, wciągać powietrze, by wyrównać krótki, przyśpieszony oddech.

— *Ja dużo przeżyłem przykrości. Ja nie mogę sobie darować tej orkiestry na poczcie, że nie mogłem nigdzie dać sobie rady. Ta trąbka to jest moja jakby psychiczna egzystencja. Staram się takie melodie grać, które mi wychodzą. A jeśli się ludziom to podoba, to jestem z tego zadowolony.*

9.

— *Dobry wieczór, Poluchna! Jak się masz.*

Pan Franciszek ostrożnie kładzie futerał na szafie, zdejmuje czapkę, rozpina płaszcz i wiesza go w przedpokoju.

Całuje na powitanie ręce żony.

— *Franusiu, jak tam tobie się powiodło?*

— *Nieźle... nieźle...*

— *To się bardzo cieszę. Martwiłam się trochę.*

— *Nie było powodu.*

— *Wiem, w życiu różnie bywa. Bardzo jesteś głodny?*

— *Tak sobie... owszem.*

— *Już wszystko przygotowałam.*

— *Dziękuję, Poluchna. Ale nie śpiesz się za bardzo.*

Poczekam cierpliwie, gazetkę poczytam.

Pani Pelagia przynosi z kuchni pożywienie. Chleb, chałkę, masło, ser biały i żółty, kawałek podgrzanej w wodzie kiełbasy. Jest jeszcze herbata z cytryną.

A gdy wieczerza zakończona, a naczynia wspólnie przeniesione do kuchni, pozmywane i wytarte, pan Franciszek przysuwa swoje krzesło do krzesła małżonki, aby móc ją objąć ramieniem. Wtedy dopiero dziękuję za posiłek i proponuje:

— *Zagraj mi, Poluchna, coś ładnego, łagodnego.*

Pani Pelagia siada do pianina. Pan Franciszek opiera rękę o blat stołu, kładzie na niej swoją białą, siwą głowę i przymyka oczy. W tej pozycji, słuchając dźwięków rozstrojonego pianina, najlepiej wypoczywa. Żona wie o tym dobrze, więc lekko, delikatnie uderza w klawisze. Gra łagodnie, piano.

— *Podoba się, Franusiu?*

— *Bardzo... jakby chmury po niebie płynęły, wolno, spokojnie jak rzeka.*

— *To się cieszę.*

— *A teraz, Poluchna, spać. Dobranoc, Poluchna!*

— *Dobrej nocy, Franusiu!*

I tak kończy się dzień Pelagii i Franciszka Staniszewskich.

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

Zazdrościłem im. Zazdrościłem zrealizowanych marzeń. Bardzo pragnąłem być takim jak oni.

MAREK — wykształcony, subtelny, pozornie nie pasujący do środowiska.

JANUSZ — męski, skromny, zrównoważony.

JERZY — desperados. W ciągu kilku lat z nikomu nie znanego zawodnika potrafił wznieść się do czołówki europejskich kierowców. Sprzęt, jaki ujeżdżał, wymagał wielkich umiejętności od kierowcy i odwagi od załogi.

Te trzy imiona na zawsze złączyła śmierć.

Przedostatni rajd sezonu. Odcinki specjalne w rejonie Karkonoszy. Jerzy prowadzi w punktacji Rajdowych Samochodowych Mistrzostw Polski. Pilotuje go Marek, który w tym sezonie nie jeździł. Czekał na narodziny dziecka. Jest już ojcem od trzech miesięcy.

Jerzy w znakomitej formie. Wystarczy wygrać ten rajd i tytuł mistrza Polski w ręku. Pracują solidnie, trenują każdy odcinek po kilka razy.

Poszli w dół — szalenie szybki odcinek specjalny. Prosta siedemset, na końcu hamowanie i prawie trzy, pełen. Idą z góry, szybkość upaja, opony grają, wiatr gwiżdże coraz wyższe tony. Spadają w dół jak kamień. Hamowanie! Prawy, trzy pełen — mówi w intercom Marek. Jest spokojny.

Jerzy prowadzi ostro, ale pewnie. Wchodzą w prawy — w jego koronie oczy rejestrują sytuację. Przed nimi po prawej — ciężarówka, po lewej mozolnie wspinający się traktor z przyczepami. Właśnie się mijają!

Pełna blokada — ruchoma ściana stali. RATOWAĆ!!! Prawe pobocze wolne, już są na nim, ściąga ich w rów. Trzymaj lewej! Koła odklejają się, samochód wali się na prawy bok. Jeszcze nic się nie stało, znakomite pasy i pałąki wytrzymały uderzenie. Suną na boku po śliskiej trawie. Drzewo! Cholerne drzewo na ich drodze. Uderzają kabiną, najmocniej prawą stroną — tam gdzie Marek.

Przy tej szybkości umiera się nawet o tym nie wiedząc.

Żegnaj MARKU.

Jerzy wyszedł z tego, nikt jednak nie myślał o tym, że kiedykolwiek siądzie znów do sportowego auta. Tymczasem, ledwie jako tako doszedł do siebie — zaczął trenować. Powiedział, że winien jest to Markowi.

Kolejne wygrane rajdy, tym razem z Januszem.

Pamiętam ostatni. Znów góry. Noc. Połowa rajdu za nami. Tym razem nie startuję — jestem obserwatorem; tu, gdzie jestem, zbiegają się informacje, działa sztab.

Jerzy i Janusz jadą rewelacyjnie. Mają prawie pięć minut przewagi nad czołówką. To niesłychane — tak wielkich różnic nigdy nie było. Czołówka walczy zazwyczaj o sekundy, nie minuty.

Biegnę na trasę odcinka specjalnego. Znam tę drogę, tyle razy ją przecież trenowałem. Mam tu swój ulubiony zakręt. Bardzo niebezpieczny. Najpierw długa prosta na płaskim terenie, parę łuków i lewy zakręt. Przechodziłem go na rajdzie sto — sto dziesięć km/h. Ciemno. Z daleka słyszę pomrukiwanie silników. Niebo zachmurzone, z trudem odróżniam ciemniejszy pas drogi.

Nagła, jasna odległa łuna i wycie silnika na wysokich obrotach. Już wystartował. Muzyka silnika informuje mnie o tym, co robi załoga. Zanim dojadą do mnie, przejeżdżają trzy lub cztery łuki, później długa prosta i mój ulubiony lewy, na którym teraz stoję.

Jako doświadczony samochodziarz wybrałem sobie punkt obserwacyjny w polu, kilka metrów od drogi. Gdybym stanął na wewnętrznej, widziałbym ich tylko przez ułamek sekundy. Stąd widzę kawał prostej, zakręt, prostą za nim i wejście w prawy.

Pierwszy jedzie Maciek — wspaniale prowadzi, na łukach nie odjął, już jest na prostej, zszedł na prawo, zmienia na trójkę i łamiąc auto wali półślizgiem w lewo. Przeszedł. Jak bardzo chciałbym być z nim tam w kabinie.

Chwila przerwy, już jest Błażej. Ta jego „Renówka" jest bezszelestna. Wspaniały, płynny przejazd.

Teraz kolej na nich. Jerzy i Janusz z tym swoim rewelacyjnym wynikiem. Nie wiem, skąd się wzięło obok mnie kilku miejscowych. Mówię im — macie, chłopy, szczęście, za chwilę pójdzie najszybsze auto tego rajdu.

Jedzie. Nagła jasność na niebie, rosnący ryk silnika.

MAREK, JANUSZ, JERZY

O, rany, ależ daje! Silnik wyje coraz wyżej. W górskim powietrzu słyszę wyraźnie zmiany biegów. Na łukach miał czwórkę, na prostej wrzucił piątkę i wali na mój zakręt. Już jest na prawym poboczu. O, k...! To jeden z widzów zaklął szpetnie i leży w trawie. Prawdę mówiąc, sam miałem ochotę paść.

Wytrzymał do końca prostą i kiedy zdawało się, że wypadnie z drogi prosto na nas, rzucił w lewo, odjął na ułamek sekundy, wyrównał kontrą i silnikiem przeszedł ten zakręt pełną piątką.

Długo nie mogłem ochłonąć z wrażenia. Teraz już wiedziałem, skąd się wzięła ta przewaga. Z góry cieszyłem się na następne widowisko. Za cztery godziny mieli być znowu. Powtarzali pętlę.

Zanim przyjechali po raz wtóry, łączność rajdowa podała, że Janusz zginął na miejscu, zaś Jerzy w ciężkim stanie walczy o życie w pobliskim szpitalu. Rozwalili się na odcinku specjalnym, sto kilometrów stąd.

Czekaliśmy na zawodników. Nadjeżdżały smutne samochody, toczyły się — nie walczyły z czasem.

Błażej i Maciek byli pierwsi na miejscu zdarzenia, gasili płonące auto, osmaleni i pokrwawieni. Organizator wstrzymał rajd na kilka tylko minut. Pomyśleliśmy, że Janusz i Jerzy nie chcieliby, aby z ich powodu rajd się nie odbył.

Ruszyli — znowu noc zagłuszył ryk i oślepił blask samochodów. Walczyli nadal o dwie dziesiąte sekundy, z taką dokładnością mierzy się rajdowe czasy.

Jerzy zmarł kilka dni później.

Odeszło trzech czołowych zawodników, trzech kolegów.

Pozostali walczą nadal.
Markowi Muszyńskiemu
Januszowi Szajngowi
Jerzemu Landsbergowi

kolega rajdowy
Kazimierz Kolinka

Łódź, grudzień 1979

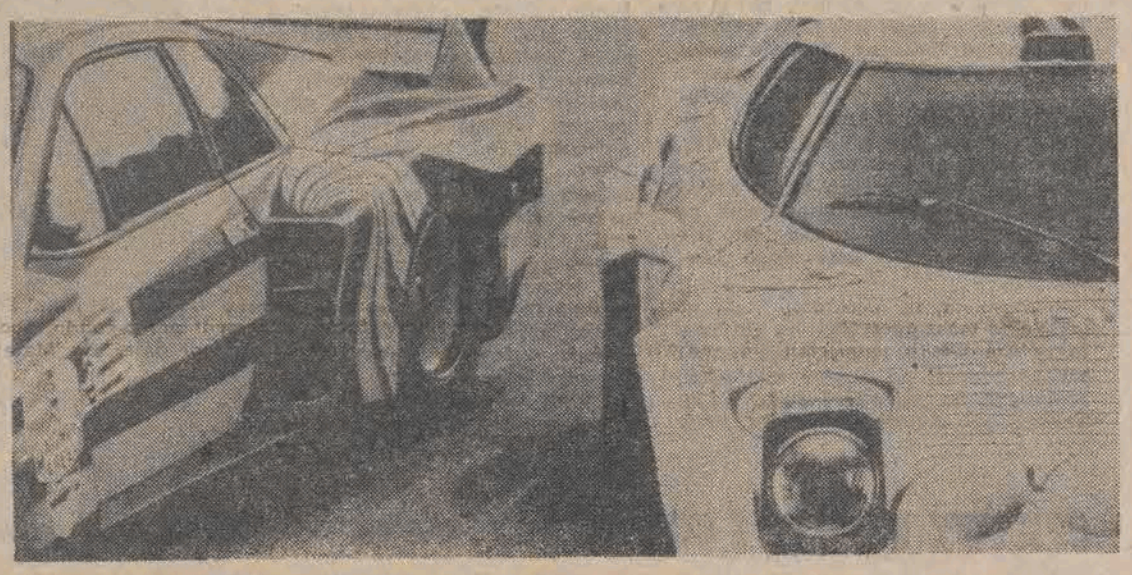

nicji.

W lipcu 1979 r. Ukleja przebywał już w areszcie, jako główny podejrzany o dokonywanie benzynowych kantów. Nie był za bardzo rozmowny. Mówił tylko o faktach znajdujących pokrycie w dokumentach śledztwa. Przedstawiono fałszywe rachunki z „Budomaszu" — przyznał się. Pokazano mu sfałszowane rachunki z „Instalu" — przyznał się do rozmiarów fałszerstwa objętego dowodami rzeczowymi jakimi dysponowały organa ścigania.

Pistolet

6 lipca ub. r. przyjaciółka Lesława Ukleji — Bożena I., u której się ukrywał, znalazła ukryty w fotelu pistolet. Broń tę przekazała milicji. Był to pistolet PW-38 nr PC 01927.

10 lipca ub. roku w obecności oficera dochodzeniowego i prokuratora Ukleja oświadczył: *W dniu dzisiejszym chciałbym ujawnić pewną sprawę i proszę o zaprotokółowanie, że dobrowolnie zgłosiłem się no przesłuchanie.* Potem opowiedział o tym, że 8 maja był w „Wifamie" szukając kierowców chętnych do nabycia fałszowanych rachunków na paliwo. *Przechodząc koło budki strażnika* — zeznawał dalej — *zauważyłem, że strażnik śpi i ma przy sobie pistolet. Ten pistolet miał w kaburze. W pobliżu znajdowało się kilka osób m. in. pracownicy, którzy ustawiali jakieś słupy. Podniosłem kamień i podszedłem do tego strażnika. Początkowo chciałem po cichu odpiąć strażnikowi pistolet, ale kiedy się zbliżyłem do niego, obudził się, więc uderzyłem go kamieniem w głowę. Strażnik nie stracił przytomności i zaczął się ze mną szarpać. Wówczas wyjąłem zza pasa nóż, który miałem przy sobie i uderzyłem ostrzem.*

Przy użyciu zrabowanego pistoletu zamierzał w przyszłości *gdzieś zdobyć pieniądze.* W jaki sposób — nietrudno się domyśleć. Plany te udaremniła milicja, rozszyfrowując miejsce ukrywania się oskarżonego.

Kara

W czasie procesu w sprawie napadu na strażnika prokurator Czesław Zalewski zwrócił uwagę w mowie oskarżycielskiej na recydywę oskarżonego, podkreślił jego wyrachowanie przejawiające się w zniszczeniu części dokumentów przestępstwa i to w czasie gdy był już poszukiwany przez milicję. Przypomniał, że właśnie oskarżony był organizatorem przestępstwa gospodarczego, w które wciągnął ponad 70 kierowców. Z zimną krwią napadł na strażnika, w biały dzień, w czasie, gdy w pobliżu pracowali inni ludzie. Analizując jego bezwzględne działanie, planowanie dalszych ciężkich przestępstw — zdobycia pieniędzy przy użyciu zrabowanej broni — wnosił o wymierzenie oskarżonemu 25 lat pozbawienia wolności.

13 listopada 1979 r. Sąd Wojewódzki w Łodzi, rozpatrujący sprawę w składzie 5 sędziów, skazał Lesława Ukleję na karę 15 lat pozbawienia wolności, 20 tys. grzywny i 5 lat pozbawienia praw publicznych.

Osiem dni wcześniej, po wielodniowym procesie, Sąd Wojewódzki ogłosił wyrok w pierwszym z serii procesów o nadużycia paliwami przeciwko 16 oskarżonym. Sąd ustalił, że oskarżeni wyłudzili co najmniej 1.625.000 zł z zakładów państwowych i skazał: Lesława Ukleję na 12 lat pozbawienia wolności, 150 tys. zł grzywny, 5-letnią utratę praw publicznych, konfiskatę całego mienia. Drugiemu z oskarżonych, Markowi Błochowi (zam. w Justynowie) wymierzył karę 7 lat pozbawienia wolności, 100 tys. zł grzywny, 4-letnią utratę praw publicznych i konfiskatę mienia. Pozostałym oskarżonym wymierzono kary od 5 lat do półtora roku (niektórym niższe kary warunkowo zawieszono). Od wszystkich solidarnie, ograniczając udział do wysokości zagarniętych kwot, zasądzono odszkodowanie na rzecz „Budomaszu" w wysokości 1.335.716 zł.

W drugim kolejnym procesie przeciwko dalszym 16 oskarżonym o nadużycia popełnione na szkodę „Instalu", Fabryce Szlifierek „Ponar-Jotes" oraz Rejonowemu Oddziałowi Gospodarki Maszynami, podległemu mazowieckiemu „Budopolowi" ogłoszono wyrok 28 grudnia ub. roku. W tej sprawie Lesława Ukleję skazano na 10 lat, 120 tys. zł grzywny, 4 lata utraty praw publicznych i konfiskatę całego mienia, zaś pozostałym oskarżonym kary pozbawienia wolności od 7 do 2 lat (niższe z zawieszeniem wykonania), wysokie grzywny a także zasądzono na rzecz okradzionych zakładów odszkodowanie.

Kolejny trzeci z serii benzynowych malwersacji proces przeciwko 19 oskarżonym znajdzie się na sądowej wokandzie niebawem.

Przypadek przyśpieszył wykrycie sprawy, którą mogłaby przecież odsłonić kontrola wewnętrzna w zakładach. Benzynowy serial raz jeszcze odsłania nieudolność wielu służb administracyjnych. Jakże można było np. akceptować bez cienia wątpliwości rozliczenia kierowców ciężkiego sprzętu budowlanego wykonujących prace na obiektach położonych przeważnie poza Łodzią, którzy przedstawiają rachunki ze stacji benzynowych w Łodzi?

Surowiej karać — lepiej kontrolować

Rok 1979 zapisał się w kraju spadkiem ogólnej liczby przestępstw. W ramach tej ogólnej tendencji wzrosła niestety przestępczość gospodarcza, zwłaszcza typu aferowego. Przed dwoma laty było w kraju 645 spraw tego rodzaju, w roku minionym 844.

Jak odbija się ta sytuacja w sądach?

W październiku minionego roku Izba Karna Sądu Najwyższego na wniosek Prokuratora Generalnego PRL uchwaliła zalecenia kierunkowe w sprawie niektórych nieprawidłowości w orzecznictwie sądów w sprawach karnych.

Sąd Najwyższy ocenił, że w początkach lat siedemdziesiątych zarysowały się dwie tendencje w przestępczości aferowej: wzrost liczby spraw i obniżanie przeciętnego wymiaru kary. Sąd Najwyższy ocenia, że orzecznictwo nie odpowiada aktualnym potrzebom zwalczania groźnej przestępczości. Kara staje się niewspółmierna do stopnia społecznego zagrożenia. (Łódzki protest oskarżonego za nadużycia gospodarcze Ukleji stanowi wyjątek).

Ale to tylko jedna strona medalu. Na pewno surowsza ocena aferzystów przez sądy wpłynie na zmniejszenie tego typu przestępczości. Ale równie ważną sprawą jest uporządkowanie i zaostrzenie kontroli wewnątrzzakładowej. Kontrola i oddziaływanie najbliższego otoczenia może zdziałać więcej niż wyrok.

Jeden z oskarżonych w łódzkim procesie o paliwowe nadużycia, b. pracownik „Budomaszu" 29-letni Jan Turek powiedział: *W przedsiębiorstwie było wiadome chyba wszystkim operatorom o fikcyjnych rachunkach na zakup paliwa.*

I nie znalazł się żaden sprawiedliwy...

PS. Na marginesie łódzkiego procesu pozostają jeszcze dwie sprawy do wyjaśnienia. Lesław Ukleja po uprawomocnieniu się wyroków pierwszej instancji otrzyma wyrok łączny.

W wyniku nadużyć benzynowych — przeszło milion złotych przywłaszczył sobie Lesław Ukleja. Nie powiedział jak i na co mu się „rozeszły" zagrabione pieniądze.

ADAM LEWASZKIEWICZ

W ŚWIECIE

TALLIN DA SIĘ LUBIĆ

Dalszy ciąg ze str. 1

mianowicie regaty wioślarskie — tutaj ma się odbywać. Wąskie uliczki starego miasta wypełnia gęsta plątanina rusztowań, odnawia się fasady mieszczańskich kamieniczek, kładzie nowe, kolorowe tynki i nowe, błyskające z daleka soczystą czerwienią, dachówki. W pracach renowacyjnych bierze udział grupa polskich specjalistów, a w mrocznej szczelinie wśród rusztowań, stanowiącej jedyne dojście do sklepu z pamiątkami, mijamy trzy zdyszane panie w kożuchach. Oczywiście — rodaczki. Przeliczają głośno ruble na złotówki i z powrotem, a z ich pękatych toreb wystają głowy wielkich, olimpijskich misiów. Nie wiem, jak tu dotarły, Tallin nie leży na szlaku wycieczek „Gromady" i „Orbisu".

Ulice, już wyremontowane, wyglądają jak Zlata Uliczka w Pradze, jak filmowa dekoracja, jak fragment Disneylandu. Czyściutkie, prosto spod pędzla kolory ścian, na chwilę jakby podważają wiarę w autentyczność otaczającej nas dzielnicy, ale to przecież tylko moment. Za parę miesięcy deszcze mrozy i wichry spatynują, stonują paletę barw, starówka odzyska swe prawdziwe, wiekami uszlachetnione oblicze. Wiele z tych domów stoi tu już paręset lat, miasto powstało przecież w XII wieku. Już wtedy narysował je na swej mapie arabski podróżnik, Idrisi, i opatrzył nazwą: Qualuvany. Nazwa ta nie brzmi obco. Słychać w niej imię Kalewa, a Kalew to legendarny bohater Estończyków, jak dla Lachów Piast, dla Germanów Zygfryd, dla Rzymian Romulus.

Gdy Kalew zginął, jego żona, Linda, znosiła z całej okolicy głazy na jego grób, z czego powstało wapienne wzgórze Toompea, idealnie nadające się na wzniesienie tam zamku ku obronie położonej w dole, naturalnej przystani. Jeden z głazów wymsknął się z rąk zmęczonej Lindy, siadła na nim i długo, smutno płakała. To właśnie z tych łez powstało jezioro Ülemiste, a upuszczony okruch głazu sterczy ponad jego powierzchnią do dziś jako Skała Lindy.

Do dziś też żyje w jeziorze złośliwy Stary Tomasz. W wieczór sylwestrowy przychodzi do rajców miejskich, zebranych na ratuszu i pyta: Czy Tallin już zbudowany? Rajcowie wiedzą, że natychmiast po zbudowaniu miasta Stary Tomasz obróci je w perzynę. Odpowiadają więc zgodnym chórem: Nie! Nie zbudowany. Jeszcze się buduje!

Buduje się, to prawda. Dwieście lat temu żyło tu siedem tysięcy mieszkańców, sto lat temu — 52 tysiące. Dziś liczba mieszkańców zbliża się do pół miliona. W najbardziej centralnym punkcie miasta, na styku jego starej i nowej części, wznosi się luksusowy, dwudziestopiętrowy hotel „Viru", z restauracjami, kawiarniami, dancingami i tłumem turystów fińskich. Do Helsinek stąd morzem bliziutko — 80 kilometrów. Prom łączy kraj o wysokich cenach, bezalkoholowy, dość purytański, z krajem gdzie ograniczeń cenowych i konsumpcyjnych nie ma. Finowie nie muszą wychodzić z hotelu, aby wykosztować do dna tę różnicę. „Viru" jest od suteren po dach rozśpiewany i tak jak by się lekko chwiał na nogach...

Z hotelu „Viru", bramą Viru, stanowiącą resztki niegdysiejszych murów obronnych, wchodzimy w ulicę Viru, aby dojść do starego rynku ze stojącym pośrodku ratuszem. Ten ratusz przypomina całkiem niezwykłą historię Tallina. Latem 1219 roku podpłynęli tu wojownicy duńscy. Estończycy pracowali w polu, nie zdążyli przeszkodzić najeźdźcom. Zamek na górze Toompea został zdobyty i na 150 lat stał się siedzibą Duńczyków. Cała reszta miasta otoczyła się jednak osobnym murem i rządziła swoimi prawami. Miasto zamykało się na noc przed nie zawsze trzeźwymi rycerzami z Długiego Hermana, jak nazwano zamek na górze, a straż miejska strzegła dwóch dojść, łączących oba światy: Długiej Stopy (Pikk jalg, najstarszej arterii tallińskiej, biegnącej pomiędzy dwoma warownymi murami) i Krótkiej Stopy (Lühike jalg, biegnącej na skróty a będącej właściwie czymś w rodzaju warszawskich Kamiennych Schodków). Okolica miasta nazywała się Rävala, skąd wzięła się też duńska nazwa dzisiejszej stolicy Estonii: Rewal. Ale sami Estończycy używali nazwy Taani linn, czyli Duńskie Miasto. Nazwa ta została po dziś dzień, chociaż Duńczycy już w połowie XIV wieku sprzedali swój zamek za 19 tysięcy srebrnych marek Zakonowi Rycerzy Mieczowych.

Potem były wojny szwedzkie, ruskie, łotewskie. Historia nie oszczędzała aż do ostatnich lat małego narodu, który uparł się żyć i tworzyć swe dzieje na tym właśnie, północnym skrawku Europy. Gdy zwiedzamy Kadriorg — dzisiejsze Muzeum Sztuki, a kiedyś letnią rezydencję carów, w murach której tkwi parę cegieł ułożonych własnoręcznie przez Piotra I, pan Kurtna staje w jednym z frontowych okien i mówi: „Tu, w tym oknie, stał w czerwcu 1940 roku prezydent burżuazyjnej Estonii, Paets, a tamtą aleją przeciągały tłumy manifestantów, domagających się powołania estońskiej republiki radzieckiej". Manifestanci zwyciężyli, republika powstała. W rok później wtargnęły tu dywizje wehrmachtu, kto mógł ratował się ucieczką do Związku Radzieckiego. Niemcy bałtyccy, siedzący tu od wieków i stanowiący główną część warstwy wielkich posiadaczy ziemskich, zostali przesiedleni przez władze Trzeciej Rzeszy na tereny wokół Poznania, a po roku 1945 uciekli na zachód; marionetkowy rząd proniemiecki w Estonii powołał młodzież pod broń i wysłał ją na front. Jednocześnie w Związku Radzieckim emigranci utworzyli Legion Estoński, który uczestnicząc w ciężkich bojach przy boku Armii Czerwonej wkroczył w 44 roku wraz z nią do Tallina. Niewielki naród krwawił więc po obu stronach ogromnych zmagań i poniósł bardzo duże straty. Nie dziw, że motyw wojny i martyrologii jest wciąż żywy w literaturze estońskiej, podobnie jak w naszej. Minęły jednak czasy, o których dziejopis estoński, pastor Christian Kelch, mógł napisać: „Estonia i Łotwa to niebo dla magnatów, raj dla klechów, kopalnia złota dla obcych przybłędów i piekło dla tutejszych chłopów". Sztuka, nauka, przemysł kwitną jak nigdy przedtem. Produkcja republiki przekroczyła trzydziestokrotnie poziom z roku 1940, eksportuje się stąd silniki elektryczne, sprzęt radiowy i elektroniczny, meble, narty, fortepiany, a także znakomitą czekoladę. Do spożycia na miejscu mamy specjalność tutejszą: likier Vana Tallin, czyli stary Tallin. Turyści z całego Związku Radzieckiego stoją cierpliwie w kolejkach, żeby nie wrócić do domu bez Starego Tallina. Miejscowe gosposie używają go do ciast, koktajli, sosów, legumin, lodów — nieomal do wszystkiego. Pachnie kawą i ziołami, pije się gładko, że palce lizać, niestety — jego recepta stanowi słodką tajemnicę producenta. Podobno dawniej można było tallińskim gospodyniom zaglądać do kuchni, stojąc na jednej z obronnych strażnic miejskich. Nawet nazwano tę strażnicę: „Kiek de Kök", co w żargonie niemieckim znaczyło właśnie „Guck in die Küche", czyli „Zajrzyj do kuchni"... W przysadzistej, opasłej wieży mieści się dziś część muzeum miasta Tallina, ale gospodynie pozostały w swych izbach o malutkich okienkach, przy pachnących historią uliczkach. Chciano to wszystko przeznaczyć na muzea, na turystyczne obiekty do oglądania, na archiwa i składy. Ludziska jednak przywiązują się do miejsc, w których żyli i umierali ich dziadowie i pradziadowie; uparli się, żeby tu zostać, słali delegację za delegacją żeby nikogo nie ruszać, że im tu dobrze i najlepiej jak może być. Dyskusja trwa, Estonki w stareńkich kuchniach gotują swoje pierogi z marchwią i zrazy, polewane śmietaną.

Po odwiedzeniu apteki w rynku, najstarszej w Związku Radzieckim i jednej z najstarszych w Europie, pozostaje nam jeszcze trochę czasu, jedziemy więc na Metsakalmitsu, czyli na jedyny w swoim rodzaju leśny cmentarz. To nie las posadzony wśród grobów, to rzędy grobów wśród starych, wysokich sosen. Nie ma tu strasznych zwałów betonu ani „gustownych" sześcianów z lastrika, nie ma klęczących aniołków ani albumów uśmiechniętych zdjęć rodzinnych na porcelanie. Są szeregi tarasowato, skośnie ułożonych na ziemi płyt, a na każdej tylko imię, nazwisko i dwie daty. Bez wierszyków, próśb o Zdrowaś Maria i zapewnień o wiecznej pamięci. Ale co najdziwniejsze: to jest cmentarz podzielony branżowo. Mają swoją dzielnicę pisarze, muzycy i mężowie stanu. Pisarz przy pisarzu, każdy pod taką samą płytą, cały literacki estoński Panteon. Nie mogę oprzeć się myśli: gdzie chowa się pisarza, który był jednocześnie malarzem? Kto ocenia proporcje jego działań, i zasług, żeby wybrać cechę dominującą i według niej wskazać miejsce na Metsakalmitsu? Dlaczego prezydent Barbarus leży wśród pisarzy, a nie w alejce mężów stanu? Gdzie są zmarłe żony, ojcowie, dzieci — czy zawód jest dla każdego człowieka czymś co go wyłącznie określa za życia i po śmierci? Czymś ponad przywiązanie, miłość, ostatnią wolę i śmierć? Kto to jest pisarz: członek związku literatów, czy ktoś kto był świetnym zegarmistrzem, a raz zdarzyło mu się wydać zbiorek wierszy?

Oto mogiła znakomitego Friedeberga Tuglasa, którego willę zwiedzaliśmy wczoraj. Zgodnie z testamentem pisarza, znanego i u nas (pamiętacie śliczną baśń: „Mały Illimar"?) willę zamieniono na Dom Pracy Twórczej, pełen książek, ciszy, mądrości. Oto Johannes Semper, twórca estońskiego hymnu, i Anton Tammsaare, autor czterotomowej sagi, obejmującej życie paru pokoleń estońskich chłopów. Te same nazwiska spotkamy jeszcze w Tallinie — na pomnikach, w nazwach ulic i placów. Tymczasem zapada zmrok, dni w grudniu krótkie, wracamy do miasta. Restauracja Vana Tomas przy rynku, serwująca specjalności estońskiej kuchni, przepełniona. Ale są ciche i urocze kawiarnie, a w nich najlepszy (i najdroższy...) gatunek kawy: Kafe Varsovis. Po warszawsku!

To miasto ma bardzo własną, pełną wdzięku twarz. Warszawiak musiałby i tu powiedzieć: Tallin da się lubić. A przecież i Ryga, i Vilnius... Ale o Rydze innym razem. W hotelu „Viru" gasną światła w pokojach i szumią dyskretnie windy. Goście zjeżdżają do baru.

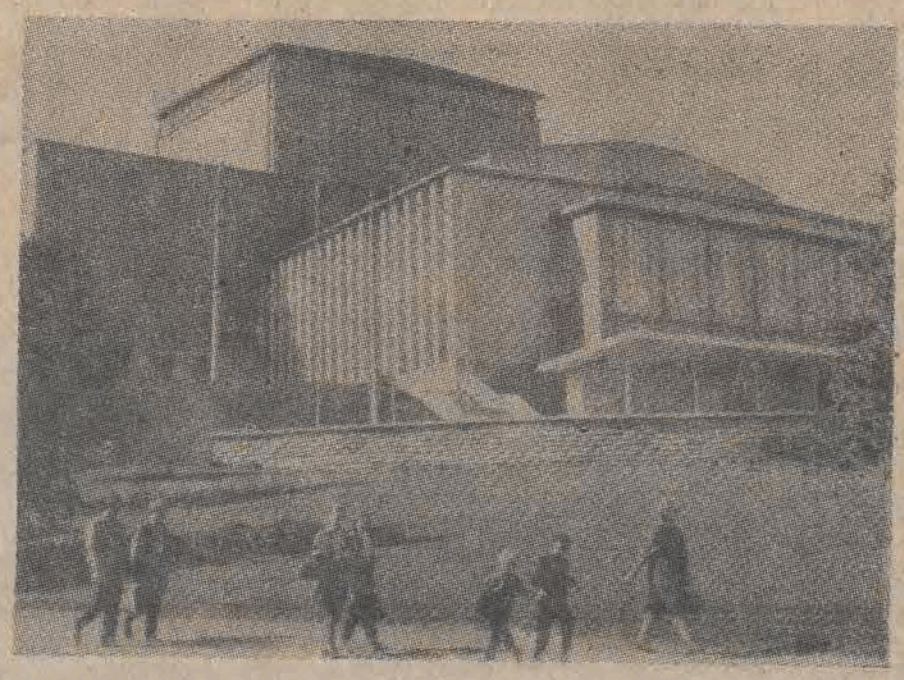

Nowy gmach teatru

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

SPRAWY DZIWNE I CIEKAWE

NASZ SATELITA

Na Księżyc i w jego bezpośrednie sąsiedztwo wyprawione zostały 24 radzieckie obiekty serii „Luna", 9 „Rangerów", 7 „Suveyorów", 5 „Lunar Orbiter" oraz kilka złożonych próbników serii „Zond". Niektóre z nich wylądowały na powierzchni Srebrnego Globu, niektóre nawet powróciły z próbkami jego gruntu na Ziemię. Prócz tego na orbitach okołoksiężycowych przebywało 24 astronautów, a 12 z nich dotknęło stopami gruntu księżycowego. Na powierzchni Srebrnego Globu ludzie, w zespołach dwuosobowych, przebywali łącznie prawie przez 300 godzin, a przez ponad 80 godzin chodzili tam lub jeździli samochodami terenowymi „Rover".

W wyniku 6 lotów załogowych na Księżyc, zebrano ponad 2 tysiące próbek o łącznej masie około 400 kg. Radzieckie, samobieżne, automatyczne stacje naukowe serii „Łunochod", wykonały badania morfologii powierzchni Srebrnego Globu oraz gruntu w miejscach odległych od terenów, na których lądowały wyprawy „Apollo". Niektóre radzieckie próbniki „Łuna" dostarczyły grunt z interesujących obszarów, dokąd ludzie nie mieli szans dotrzeć.

A jednak... Cały dotychczasowy wysiłek badaczy amerykańskich i radzieckich nie został uwieńczony ostatecznym powodzeniem. Nie uzyskano odpowiedzi na zasadnicze pytanie: Skąd się wziął Księżyc, jakie jest jego pochodzenie?

Przed podjęciem bezpośrednich badań Księżyca sądzono, że zachował się on w stanie prawie niezmienionym od chwili jego powstawania. Spodziewano się więc znaleźć tam wyraźne ślady sprzed mniej więcej 4,5 miliarda lat, kiedy tworzyła się Ziemia i zapewne inne ciała Układu Słonecznego. Spodziewano się uzyskać pewne wiadomości na temat nie tylko pochodzenia Księżyca, ale i całego Układu Słonecznego.

Tymczasem badaczy spotkał zawód. Pomimo, że dowiedzieli się niemało, przede wszystkim o jego dawnym otoczeniu. Pomiary wykazały, że powstał on w tym samym czasie jak Ziemia, mniej więcej 4,5 miliarda lat temu. Następnie jednak doznał bardzo gruntownych przemian. Uległ on przetopieniu na głębokości mniej więcej 400 km i spowodowało to powstanie różnych nowych skał z pierwotnego materiału Księżyca. Z kolei nastąpiło silne bombardowanie jego powierzchni, które, jak można sądzić, osiągnęło szczytowe natężenie przed około 4 miliardami lat. Rozległe zjawiska wulkaniczne spowodowały wypływ magmy, która zalała przede wszystkim głębokie niecki, wybite uderzeniami ogromnych brył kosmicznych — tak powstały ciemne „morza", wypełnione przede wszystkim materiałem typu bazaltu.

Zliczenia kraterów, a przede wszystkim metody radioizotopowe, polegające na pomiarach stosunku zawartości odpowiednich izotopów w próbkach gruntu, umożliwiły wyznaczenie dat opisanych przemian. Analizy chemiczne natomiast wykazały, że Księżyc ma skład bardzo odmienny od Ziemi. Główne różnice, to brak wody w skałach księżycowych, brak lotnych pierwiastków, takich jak chlor i niedobór tzw. pierwiastków siderofilowych, które zwykle towarzyszą żelazu, np. niklu. Brak także substancji organicznych pochodzących z przemiany materii organizów żywych. Uzyskane dane umożliwiły stwierdzenie prawie z pewnością, że na Księżycu życie nigdy się nie rozwinęło, bo też nie miało tam na to warunków. Natomiast informacje zdobyte tak wielkim nakładem sił i kosztów nie pozwoliły na rozstrzygnięcie najważniejszego problemu — na rozwikłanie zagadki pochodzenia Księżyca.

Pomiary składu izotopowego tlenu przemawiają za jednoczesnym powstaniem Ziemi i Księżyca z tej samej części mgławicy okołosłonecznej, w której nieco wcześniej utworzyła się gwiazda centralna układu — Słońce. Stosunek zawartości izotopów tego pierwiastka $16^{O}:17^{O}:18^{O}$ w skałach księżycowych są w zasadzie takie same jak w ziemskich. Różnią się one jednak zasadniczo od stwierdzonych w meteorytach, które pochodzą z obszaru między orbitami Marsa i Jowisza. Jeśli jednak Księżyc i Ziemia miałyby być tak blisko spokrewnione ze sobą, konieczne jest wytłumaczenie innych różnic chemicznych, takich jak wspomniany brak wody, brak pierwiastków lotnych czy niedobór siderofilowych.

Dlatego też nieliczni zresztą badacze uważają, że Księżyc kiedyś po prostu oderwał się od naszej planety. W wieku XIX sądzono, że Ocean Spokojny stanowi właśnie ślad po tym wydarzeniu. Jednakże dziś wiadomo, że Pacyfik utworzył się w wyniku wędrówki kontynentów będącej przejawem tzw. tektoniki płyt litosferycznych. Tym niemniej niedobór pierwiastków siderofilowych na Księżycu jest jakimś argumentem za pochodzeniem tego ciała niebieskiego z zewnętrznych partii naszej planety, gdzie panuje podobna sytuacja. Zgodnie z najnowszą wersją hipotezy rozszczepieniowej, Srebrny Glob miał oderwać się od tzw. płaszcza, występującego pod skorupą planetarną szybko obracającej się Ziemi, kiedy jej pierwiastki siderofilowe zdołały się już skupić w jądrze żelazo-niklowym. Nie sposób jednak stwierdzić, czy takie odszczepienie w ogóle jest możliwe i wytłumaczyć brak pierwiastków lotnych na Księżycu, które są tak przecież pospolite na naszej planecie.

Stąd niektórzy badacze prowadzą poszukiwania w innym kierunku, zadając sobie pytanie, czy Srebrny Glob nie utworzył się z dala od Ziemi. Teoretycy jednak szybko doszli do wniosku, że nie był możliwy wychwyt przez nią obcego ciała niebieskiego jako pojedynczego obiektu. Podobnie przecież próbnik przelatujący obok jakiejś planety czy jej księżyca nie może, bez dodatkowego źródła energii, stać się sztucznym satelitą takiego globu. Dlatego obecnie przyjmuje się, że jeśli Księżyc został kiedykolwiek schwytany, mogło to nastąpić jedynie w przypadku rozerwania macierzystego ciała przelatującego obok Ziemi przez piły pływowe. Musiałaby też wtedy zostać wychwycona część skalnego płaszcza tego ciała. Alternatywa to wychwyt roju ciał drobniejszych dzięki spowalniającemu oddziaływaniu zderzeń między nimi.

I chociaż nie można wykluczyć pochodzenia Srebrnego Globu z odległych rejonów przestrzeni, hipoteza jego powstania współcześnie z Ziemią, lecz w jej pobliżu, wydaje się najbardziej naturalną. Być może tworząca się nasza planeta tak skutecznie wymiotła otaczającą przestrzeń z masywniejszych cząstek zawierających pierwiastki siderofilowe, że Księżyc powstający tylko mniej więcej współcześnie z Ziemią, narastał z materiałów zubożonych w te pierwiastki. Późniejsze zaś przetopienie i silne bombardowanie przez fragmenty kosmiczne mogło spowodować ucieczkę pierwiastków lotnych.

Badacze zastanawiają się, czy możliwe jest znalezienie prawidłowej odpowiedzi przy wykorzystaniu jedynie dotychczas uzyskanych materiałów, czy też konieczne będą dalsze wyprawy na Księżyc. Niewątpliwie, wprowadzenie surowych rygorów naukowych i krytyczna analiza wyników umożliwią oddzielenie przypuszczeń od faktów. Istotne znaczenie mają też nowe dane z badań planet i ich księżyców. Jednakże wydaje się prawie pewne, że ostateczne wyjaśnienie zagadek będzie możliwe dopiero po przeprowadzeniu dalszych, szczegółowych badań na miejscu.

W Stanach Zjednoczonych opracowano projekt sztucznego satelity Księżyca, poruszającego się po orbicie prawie-biegunowej. Jednakże, wskutek cięć budżetowych, realizacja tego przedsięwzięcia została na razie odłożona. Tym bardziej nie przewiduje się żadnych nowych amerykańskich lotów załogowych na Srebrny Glob. W tej sytuacji rozważa się możliwość wysłania na Księżyc aparatury amerykańskiej w próbniku radzieckim. Może w przypadku dojścia do skutku takiej koncepcji wyniki badań uzyskane dzięki jej wdrożeniu spowodują wreszcie uzyskanie odpowiedzi na podstawowe pytanie, stawiane przez uczonych: Skąd się wziął Księżyc?

ASTROGATOR
(„Astronautyka")

KRONIKA TYGODNIA

Złożoność obecnej sytuacji międzynarodowej i rzeczywiste powody tego stanu potwierdzone zostały w dorocznym raporcie prezydenta Stanów Zjednoczonych o stanie państwa. Carter dużą część swego wystąpienia poświęcił aktualnej polityce zagranicznej jego administracji. **Zapowiedział przyśpieszenie zbrojeń, a także wyraził obawy o wpływy i pozycje USA na Bliskim Wschodzie oraz w rejonie Zatoki Perskiej.** Prasa amerykańska przedstawione przez prezydenta zasady polityki zagranicznej nazwała „doktryną Cartera". Na czym ona polega?

Uzurpując sobie prawo do wyłącznego oddziaływania na rejon Zatoki Perskiej Carter stwierdził wręcz, że ten region jest strefą amerykańskich wpływów i każde zmiany o charakterze politycznym czy społecznym, należy traktować jako zagrożenie bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. **Waszyngton chce więc za wszelką cenę utrzymać tam status quo,** co oczywiście może także oznaczać rozciągnięcie „politycznego i militarnego nadzoru" nad tym rejonem. Jest to wyraźna zapowiedź utworzenia nowych baz i tzw. sił szybkiego reagowania, o czym już na tym miejscu pisaliśmy.

„Doktryna Cartera", gdyby miała być zrealizowana, oznaczałaby zwrot w polityce amerykańskiej. Po klęsce wietnamskiej głoszono bowiem w Waszyngtonie niewłączanie się militarne poza granicami kraju. Zrozumiałe, że **nowa doktryna służy rozbudowie programu militarnego i zwiększaniu na te cele budżetu państwa.** Tak więc grudniowe decyzje NATO „wsparte" zostały teraz założeniami polityki zagranicznej.

Carter, aby nie wzmagać niepokoju społeczeństwa amerykańskiego, znalazł w raporcie wprawdzie także miejsce na zapewnienie, że rokowania rozbrojeniowe będą kontynuowane, a uniknięciu konfrontacji atomowej służy radziecko-amerykańskie porozumienie SALT II — jednakże nie wyjaśnił, jakie są plany Waszyngtonu w sprawie tych rokowań.

Zbiegiem okoliczności w tym samym serwisie prasowym, który przyniósł informację o przemówieniu Cartera, znalazł się również tekst wystąpienia min. A. Gromyki, które wygłoszone zostało w Moskwie w czasie spotkania z bułgarskim ministrem Spraw Zagranicznych. Jakże kontrastuje ono ze słowami amerykańskiego prezydenta! **Jego myślą przewodnią jest umocnienie bezpieczeństwa i rozwój pokojowej współpracy na świecie.** ZSRR i pozostałe kraje socjalistycznej wspólnoty dążyć będą do tego, aby odprężenie pozostało dominującą tendencją w stosunkach międzynarodowych. Nasza polityka pokoju będzie realizowana konsekwentnie i wytrwale, chociaż za sprawą kół imperialistycznych nastąpiły obecnie powikłania. Przyczyna zaostrzenia napięcia tkwi w tym, że koła te chcą wzmagać wyścig zbrojeń z myślą o uzyskaniu dla siebie przewagi, próbują narzucać innym państwom własną wolę i zagradzają im drogę do niezawisłości i postępu społecznego. Ich zamierzeniem jest przekreślić dziesięciolecie odprężenia i zastąpić ducha Helsinek duchem „zimnej wojny". Ale **wspólnota krajów socjalistycznych będzie bronić odprężenia,** ponieważ odpowiada ono dążeniom narodów.

Ta sytuacja ogólniejsza, znajdująca się w centrum uwagi, nie zepchnęła na plan dalszy zainteresowania wydarzeniami w poszczególnych krajach, a zwłaszcza w Iranie. Tym bardziej, że 25 stycznia odbywały się tam wybory prezydenckie.

W walce przedwyborczej uczestniczyło 66 kandydatów, ale obserwatorzy polityczni w Teheranie dość zgodnie **największe szanse dawali członkowi Rady Rewolucyjnej, ministrowi Gospodarki i Finansów — Bani-Sadr. Tak też się stało,** został on wybrany prezydentem.

Warto podkreślić, że wszyscy kandydaci wyrażali pełne poparcie dla ajatollaha Chomeiniego i deklarowali gotowość obrony rewolucji islamskiej.

Pewną sensacją, lecz krótkotrwałą, była w minionym tygodniu informacja o rzekomym aresztowaniu przez władze panamskie byłego szacha. Rychło się wyjaśniło, że **jest on w Panamie pod nadzorem, a rząd tego kraju oczekuje w ciągu 60 dni dokumentów,** uzasadniających żądanie Iranu jego ekstradycji. Wydanie szacha Teheranowi nie jest zatem przesądzone.

Jak wiadomo, były szach Pahlavi oskarżony jest w Iranie o popełnienie morderstw i sprzeniewierzenie funduszy państwowych, a domaganie się jego ekstradycji wsparte jest od wielu tygodni okupowaniem przez studentów amerykańskiej ambasady w Teheranie.

W. SŁAWSKI

STARY PLAN W NOWYM WYDANIU

W „Raporcie prezydenta USA o stanie państwa" J. Carter omówił, m.in. główne kierunki polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, podkreślając wzrost oddziaływania potęgi militarnej Związku Radzieckiego w świecie, rosnącą zależność wysoko uprzemysłowionych krajów Zachodu od naftowych obszarów Bliskiego Wschodu i Zatoki Perskiej oraz napięcie wywołane zmianami w wielu krajach Trzeciego Świata. A więc, któryś tam z kolei, „kryzys" w tym rejonie świata.

Wielu politologów Zachodu już dawno przyznało, że również minione „kryzysy" w latach 50-tych i 60-tych na Bliskim i Środkowym Wschodzie wybuchały **wcale nie z powodu osławionej „sowieckiej penetracji", lecz wskutek bezskutecznych prób kół imperialistycznych wydostania się ze ślepej uliczki polityki kolonialnej.** Widać to było wyraźnie pod koniec lat siedemdziesiątych w strategii „elastycznego reagowania" prezydenta Cartera. Niedawno komentator amerykańskiej gazety „Christian Science Monitor", J. Harsch, określił obecny etap konfrontacji na Bliskim i Środkowym Wschodzie „kryzysem innego rodzaju, który mało przypomina poprzednie, ponieważ wykazał, iż większość ludzi świata muzułmańskiego gotowa jest myśleć, a nawet myśli, o Stanach Zjednoczonych jak najgorzej.

W istocie chodzi tu nie o „kryzysy różnego rodzaju", lecz o różne etapy ruchu antyimperialistycznego na Bliskim Wschodzie. Ewidentnym przykładem tego ruchu, a raczej tych ruchów, jest rewolucja irańska, która zadała cios naftowym, finansowym i innym rozległym interesom zachodnich monopoli w całym tym rejonie świata. Ona też osłabiła tam wojskowo-polityczne pozycje neokolonializmu, zmieniła ogólny układ sił na niekorzyść imperializmu. Wypędzenie szacha spowodowało jednocześnie usunięcie z kraju głównego jego opiekuna — Stany Zjednoczone. Demonstracyjne przygotowania wojskowe USA, wyraźne dążenie Pentagonu do skorzystania z okazji, żeby móc przeforsować utworzenie „sił interwencyjnych", zapewnić sobie nowe bazy: w Omanie, Somali i innych rejonach jeszcze bardziej zaostrzyło sytuację na obszarze Oceanu Indyjskiego i Zatoki Perskiej. Zresztą oprócz baz na Oceanie Indyjskim i Morzu Śródziemnym, USA korzystają także z baz dzierżawionych przez Amerykanów w Bahrajnie i na wyspie Massira. Tak więc w ostatnim roku lat 70-tych w Iran i w wiele krajów arabskich znów wycelowano lufy dział z okrętów.

Nietrudno się zorientować w polityce Waszyngtonu w tej strefie świata, jeśli wziąć pod uwagę, iż ma ona, dla Stanów Zjednoczonych ogromne, a nawet — zdaniem wielu amerykańskich specjalistów — „życiowo ważne znaczenie". USA importują, przede wszystkim z rejonu Bliskiego Wschodu, około 50 proc. całego krajowego zapotrzebowania na naftę. **Zdaniem ekspertów, ta zależność od zagranicznego paliwa płynnego będzie stale rosnąć.** Jak już rok temu informował amerykański dziennik „Business Week", zbadane zasoby ropy naftowej w USA zostaną wyczerpane w przeciągu 12 lat, a gazu ziemnego w przeciągu 9 lat. Jeśli chodzi o stworzenie innych źródeł energii, to także i w tej dziedzinie trudno o optymizm. Ten sam dziennik podkreśla, że „szybko rosnące ceny na wszystko, od uranu aż po budowę elektrowni atomowych, stawiają w ostatnich czasach pod znakiem zapytania opłacalność energii atomowej, która wcześniej nie wzbudzała wątpliwości i przyciągała uwagę przemysłowców". Według najbardziej autorytatywnych danych amerykańskich specjalistów, **słoneczna i geotermiczna energia oraz energia syntezy jądrowej pokryją do 1985 roku nie więcej niż 1 proc. ogólnego energetycznego zapotrzebowania USA i około 5 proc. do roku 2000.** Wydawałoby się, iż w tych okolicznościach USA powinny dążyć do pokojowego uregulowania stosunków na arabskim Wschodzie, do stworzenia tam ustabilizowanej sytuacji, zapewniającej im dopływ paliwa z tego rejonu. Ale jest inaczej.

Już w styczniu 1975 roku, tj. po wprowadzeniu przez kraje arabskie embarga na dostawy paliwa do USA, w odpowiedzi na poparcie okazane agresywnej polityce Izraela, małonakładowe amerykańskie czasopismo „Commentary" opublikowało artykuł profesora nauk politycznych, Roberta Tackera, (na uniwersytecie im. Johna Hopkinsa), który wyłożył w nim izraelski plan zbrojnej interwencji przeciwko państwom arabskim, przewidujący położenie ręki na ich nafcie. Proponował on **„anektowanie nabrzeżnego pasa od Kuwejtu aż po Katar, gdzie wydobywa się 40 proc. ropy naftowej krajów OPEC.**

Nim „Commentary" dotarł do rąk prenumeratorów, obserwator polityczny gazety „New York Times", Anthony Lewis, opublikował szczegółowe objaśnienie artykułu profesora, motywując to tym, że jego propozycja „wzbudzi szerokie echo". Trzy dni później plan Tackera rozreklamowała gazeta „Washington Post". Komentator tego dziennika, J. Kraft, pisał: „Postawiony przez profesora problem wzbudza widać strach". Pięć dni później „New York Times", tym razem w artykule podpisanym przez zięcia Trumana, C. Daniela, znów z detalami wyjaśniał poglądy profesora, podkreślając jego słowa, że „społeczeństwo amerykańskie (...) może poprzeć interwencję, jeśli powodzenie nie będzie zbyt kosztowne". Kampania zastraszania krajów wydobywających ropę naftową, zapoczątkowana przez Tackera w czasopiśmie „Commentary" i podchwycona przez prasę amerykańską zbliżoną do monopoli naftowych i Pentagonu, otrzymała oficjalne błogosławieństwo waszyngtońskich działaczy, zabierających głos w tej sprawie. Jednakże realizację tego planu odłożono, ponieważ w pamięci narodu amerykańskiego były wtedy jeszcze zbyt świeże wspomnienia o awanturze wietnamskiej. Pierwszy powrócił do planu Tackera ówczesny minister energetyki rządu USA, J. Schlesinger, występując przed grupą wojskowych w Waszyngtonie w początkach ub. roku. Zażądał on **„ochrony naszych** (tzn. amerykańskich — red.) **bliskowschodnich źródeł energii".** Kilka miesięcy później minister obrony USA, H. Brown, powiedział, że w armii amerykańskiej tworzy się specjalne, operatywne jednostki w składzie dwóch dywizji wojsk lądowych i dywizji piechoty morskiej z oddanym do ich dyspozycji lotnictwem, niezbędnym do transportu tych oddziałów do strefy Zatoki Perskiej **„w celu obrony źródeł nafty w wypadku powstałej tam sytuacji nadzwyczajnej".** „Washington Post", komentując to wystąpienie Browna, a zwróćmy uwagę, że było to rok temu, podkreślał, że Pentagon, planując „wojskowe operacje w rejonie Zatoki Perskiej i wokół niej coraz mocniej ujmuje w swoje ręce amerykańską politykę na Bliskim Wschodzie widocznie dlatego, że kładzie ona akcent na użycie siły". W tym świetle pomoc ZSRR prawnie udzielona Afganistanowi stała się tylko pretekstem dla rządu USA do z dawna już przygotowanego zimnowojennego zwrotu, jaki w ostatnich tygodniach zademonstrował Waszyngton zarówno w linii politycznej, jak i w taktyce. Tak więc plan Tackera nabrał aktualności.

Oczywiście, amerykańska dyplomacja, stawiając na reakcyjne reżimy w strefie Zatoki Perskiej, **dąży do przeciwstawiania jednych państw innym, rozpalania waśni plemiennych, narodowościowych i religijnych,** żeby tylko osiągnąć zamierzone cele. Daleko idącym zamierzeniom amerykańskich monopoli naftowych, działających ręka w rękę z kompleksem wojskowo-przemysłowym, przyświeca cel stworzenia takiej sytuacji na Bliskim Wschodzie, która by im gwarantowała nie tylko stały dopływ paliwa, lecz także wykluczyła w tym rejonie silne postępowe socjalno-ekonomiczne ruchy o charakterze antyimperialistycznym. W tym niebezpiecznym zamiarze Izraelowi poruczono odegranie roli nie tylko „twierdzy USA", lecz także siły uderzeniowej w celu rozsadzenia tych krajów arabskich, które pragną umocnić swoją niezależność polityczną i ekonomiczną.

Radziecki komentator, A. Nikołajew, w jednym ze swych artykułów podkreśla, iż pośpiesznie podpisany, po upadku reżimu szacha, egipsko-izraelski układ pokojowy amerykańscy strategzy polityki zagranicznej oceniają jako pierwszy krok w kierunku sojuszu wojskowego egipsko-izraelskiego. **W przyszłości sojusz ten ma się przekształcić w szeroko zakrojony pakt bliskowschodni, dla którego wymyślono już nawet nazwę: Middle East Treaty Organisation.** Miałby on na celu zjednoczenie tych krajów, które USA uważają tradycyjnie za proamerykańskie, przede wszystkim Jordanię i Arabię Saudyjską, umacniając w ten sposób pozycje imperialistyczne w krajach bogatych w ropę naftową w rejonie Zatoki Perskiej oraz w Afryce Północnej. Jednakże nawet najbardziej umiarkowani Arabowie odmówili przyłączenia się do osi Tel Aviv-Kair, upatrując w niej zagrożenie dla interesów własnych i ogólnoarabskich. Zespolenie sił arabskich dokonuje się na zasadzie antyimperialistycznej, a **tzw. kryzys w stosunkach między USA a światem muzułmańskim wynika z samego systemu neokolonialnego, który z historycznego punktu widzenia stał się przeżytkiem.**

JERZY CZECH

ZŁOTE LATA ZŁOTA

Pod takim tytułem londyński THE OBSERVER zamieścił, w ramach przeglądu wydarzeń minionego dziesięciolecia, artykuł pióra Johna Davisa, omawiający światowe zjawiska inflacyjne i związaną z tym, gwałtowną zwyżkę ceny złota. Autor pisze:

„Cena jednej uncji złota, gdy wkraczaliśmy w lata 70-te wynosiła 31,20 dolara. Kiedy dekada dobiegała końca, cena tego kruszcu przekroczyła 500 dolarów za uncję. Ale lata 70-te dalekie były od złotych dla większości inwestorów, zarówno wielkich jak i drobnych.

Generalnie, były to lata niepokojów i frustracji, wywoływanych inflacją na skalę spotykaną dawniej w republikach bananowych, a nękającą teraz Zjednoczone Królestwo i niosącą finansowy chaos.

Zwykło się było mówić — i dawali temu wiarę również spece od inwestycji z londyńskiego City — że akcje stanowią dobre zabezpieczenie przed inflacją. Lata 70-te zdemaskowały tę teorię jako wielki humbug. Po prostu inflacja była zbyt duża, aby mogło to wyjść na dobre akcjom i innym, tradycyjnym formom lokat kapitału, nawet tym najbardziej cenionym, jak obligacje Pożyczki Wojennej, za które płacono przed 10 laty 40 funtów szterlingów, a obecnie ich cena spadła do 29 funtów.

Pogoń za zabezpieczeniem się przed inflacją kierowała inwestorów w najbardziej ezoteryczne dziedziny i ku towarowym spekulacjom na skalę, uważaną dawniej za bezsensowną.

Dla wielu, swego rodzaju deską ratunku stał się krugerrand — jednouncjowa, złota moneta bita przez rząd Afryki Południowej. Natomiast tzw. obligacje o gwarantowanym wzroście wartości — jedna z modnych lokat kapitałowych dziesięciolecia — przysparzały tyle samo zabezpieczeń przed inflacją, co finansowych kłopotów. Obligacje „Nation Life", stanowiące awangardę lokat tego typu zeszły na psy; pozostawiając na lodzie wielu inwestorów.

Najbardziej poszukiwane były tzw. Certyfikaty Emerytalne, powiązane ze wskaźnikiem cen, które rząd wprowadził w 1975 roku w ramach programu narodowych oszczędności. Stanowiły one pełne zabezpieczenie przed inflacją, ponieważ ich wartość została związana z kosztami utrzymania. Wzrosła też ona o 84,1 proc. od momentu ich emitowania, a powstały w ten sposób zysk jest wolny od opodatkowania. Niestety, były one dostępne tylko dla rencistów.

Renciści, którzy nie mieli dostatecznych funduszów dla wykupienia za 1200 funtów szterlingów przysługujących im certyfikatów i inni o stałych dochodach, nie mieli łatwego życia. Zakupy, nawet podstawowych artykułów konsumpcyjnych, bywały dla nich często istną zmorą.

Ceny towarów sprzed 10 laty wydają się dziś nierealne. Funt baraniny, wieprzowiny czy wołowiny kosztował wtedy 12,5 — 16 funtów szterlingów. Broilery były po 12 pensów za funt. Duże jaja kosztowały 210 pensów za 120 sztuk. 56-funtowy worek ziemniaków można było kupić za 72,5 pensa. 30-funtowy worek jabłek gatunku „Cox" kosztował zaledwie 15 pensów.

Cukier był w cenie 30 funtów szterlingów za tonę (obecnie — 179 funtów), pszenica — 28,75 funta (obecnie 108,5 funtów), kakao — 344,25 funtów (obecnie — 1534 funty), kawa — 335,5 funtów (obecnie 1590,5 funtów).

Ale wzrastały ustawicznie ceny nie tylko artykułów żywnościowych. Poszły w górę, jak rakieta, również ceny różnych metali. Tona miedzi kosztuje dziś 992 funty szterlingi (poprzednio — 696 funtów), ołów — 503,5 funtów (poprzednio — 137 funtów), nikiel — 3260 funtów (dawniej — 220 funtów), aluminium — 765 funtów (poprzednio — 253 funty), cyna — 7432 funty (poprzednio — 1594 funty), cynk — 335,5 funta (dawniej 128 funtów). Ceny srebra wzrosły jeszcze gwałtowniej: z 90 pensów do 1249 pensów za uncję.

Takie podwyżki cen były zbyt gwałtowne, ale brytyjski przemysł przetwórczy mógł się do nich z miejsca dostosować. Rezultat był taki, że zyski korporacji zmalały, a to w połączeniu z kontrolą dywidend, przelało kielich goryczy wielu inwestorów.

W konsekwencji takie instytucje, jak Fundusz Emerytalny czy towarzystwa ubezpieczeniowe, są dziś w lepszej sytuacji finansowej niż prywatni inwestorzy, co jest zupełnym odwróceniem sytuacji sprzed dziesięciu laty.

A przecież miniona dekada zapowiadała się tak obiecująco! Oto, co mówił Roy Jenkins, ówczesny minister skarbu: „Rok 1969 przyniósł widoczną poprawę naszej sytuacji gospodarczej. Toteż perspektywy na najbliższe 12 miesięcy są bardziej zachęcające, niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich kilku lat. Bilans płatniczy zamknął się znaczną nadwyżką. Byliśmy w stanie w minionym roku spłacić znaczną część zagranicznego zadłużenia. Eksport i inwestycje w prywatnym przemyśle stanowią największą siłę napędową naszej gospodarki".

Jednak ani Jenkins, ani nikt inny, nie mógł przewidzieć u progu 1970 roku, że cena ropy naftowej, kształtująca się wtedy na poziomie poniżej 5 dolarów za baryłkę, wzrośnie pięciokrotnie.

Ujawniło to w pełni słabość brytyjskiej bazy przemysłowej i tylko odkrycie złóż ropy pod Morzem Północnym zapobiegło głębokiej depresji gospodarczej w Zjednoczonym Królestwie. Jednak odkrycie to sprawiło również, że kurs wymiany funta szterlinga jest dziś wyższy niż powinien być. Funt szterling, który spadł do 1,56 dolara w 1976 roku, ma dziś kurs tylko o 8 proc. niższy niż 2,4006 dolara, z jakim wszedł w lata 70-te.

Na tym polega chyba ironia minionej dekady. Mamy mocniejszą walutę niż chcemy i niż jest to usprawiedliwione gospodarczymi realiami. Złoża ropy pod Morzem Północnym — aczkolwiek trudno z nich nie cieszyć się — zamazują chwilowo nieprzyjemne fakty brytyjskiej sytuacji ekonomicznej: przerażająco niską produktywność, archaiczną strukturę przemysłu i dług narodowy, sięgający sumy ponad 1,000.000 milionów funtów szterlingów, co stanowi 2,000 funtów na jednego mieszkańca".

CORNELIU STURZU

KRZYSZTOF KOLUMB

Gdy Krzysztof Kolumb wchodzi do klasy
Zrywa się wiatr i map miesza szyki
Na oceanie wyrasta fal ołowiany masyw
A na podłogę spadają z trzaskiem południki

Wysoki brzeg podnosi się do okien
I w piaskach plaży wolno jak z zaświatów
Pękatym dnem ciężko osiada okręt
Z kołczanami madryckich twoich poematów

Łagodne ogniki kołyszą się nad ziemią
Wzniesienie w zieleni palm się nurza
Gdy zastępy czerwonoskórych plemion
Ciałami o świcie bronią wzgórza

Chciałeś aby się stało zupełnie inaczej
Lecz miecze same wysunęły się z pochew
Czy miały sens wodne szlaki tułacze
Twoja wyspa spływa krwi potopem

Ciała wojowników wchłaniają bagna ciemne
I cienista ziemia wąwozów bez słońca
Chciałbyś krzyczeć że wszystko daremne
I modlitwy i stosy płonące

W eposie i ołowiu brzegi gdzie stoisz zatoną
Niemy wśród myśli jak szuwar rosnący dziko

A obok pan Krzysztof Kolumb
Zamiata wytrwale klasę z południków

FOTOGRAFIE RODZINNE

Dziadek, jak wypada, ubrany jest w strój regionalny
I obok, z batystową przepaską, babka
Tata w pożyczonej dwurzędowej marynarce i mama
Z chusteczką w dłoni
I żonki moich stryjów z batystami w ręku
I najprzeróżniejsi krewni z kobietami i dziećmi
I batysty...

Kiedy dostrzeżesz na chusteczce trzy krople krwi
To zrozumiesz

Lecz do tej pory
Te niepojęte znaki z portretów oprawnych w ramy
Kiedy rozstajemy się rano
Jak na zatłoczonym dworcu
Zapatrzeni w pośpiech odjazdów
Biorąc z sobą za każdym razem
Batystowe chusteczki

ROMANCA

Cóż, lato przeszło, a kochaliśmy się przecież
Jak każe obyczaj i cośmy krwi powinni
I trzcinom, co osłaniały w lecie
Srebrzystych ryb nieme zaręczyny

Lecz znowu wody cofają się z morza
I w zagłębienie, co zrobiłaś ciałem
Na zawsze w piasku, teraz żłobiąc zorze
Jaszczurki pełzną jak tabory białe
W wiecznym rytmie Dunaju z niebieskością całą

Przełożył:
KONRAD FREJDLICH

W MIĘDZYSŁOWIU

rozmowa z CORNELIU STURZU

— W swojej ostatnio wydanej książce, dużym retrospektywnym tomie wierszy pt. „Zigurat" (Zikkurat) dokonujesz swoistego pożegnania z czytelnikami. Czy to dramatyczne przesłanie jest tylko chwytem literackim, figurą stylistyczną, czy też wyrazem świadomości artystycznej wypływającej z najgłębszych obszarów twoich twórczych doświadczeń?

— To, co napisałem w moim posłowiu, powinno być rozumiane jako wyraz mojej świadomości artystycznej. Zakończyłem, jak przypuszczam, pewien etap aktywności literac-

Foto: R. Łucyszyn

kiej, w którym połączyłem moje doświadczenia poetyckie, a zarazem doświadczenie głęboko ludzkie. Chciałem więc być szczery i otwarty wobec samego siebie. Bo uważam, że już nie mogę, a nawet nie mam prawa, pisać tak jak dotychczas. Powinienem robić to inaczej. Jeszcze nie wiem jak. I dlatego nie zamierzam wydawać niczego w poezji, po to tylko, aby pomnażać pozycje książkowe. Od czasu do czasu poeta musi także milczeć. Ten okres można przyrównać do przestrzeni między słowami w linijce wiersza, znaczy dla mnie tyle, co międzysłowie, które przecież także jest częścią poezji. To oczywiście problem osobisty, który wszakże jest jednocześnie częścią mojej drogi literackiej. Istnieją zresztą inne gatunki literackie, które fascynują mnie obecnie. Na przykład proza.

— Proza, dramat, scenariusz filmowy... Wiemy, że przeżywa się takie rozterki. A przecież nawet w tym co mówisz, tutaj, kolokwialnie, jesteś do szpiku kości poetą. Są sprawy, których nie można się wyprzeć, bo one i tak podświadomie znajdują sobie ujście.

— Jestem egoistą, gdyż walczę o swój ideał, a każdy z nas, optymistów, poeci są wszak optymistami, był w zasadzie egoistą. Ratując świat przed szarzyzną ratuję swoją osobowość. To jest egoizm, a ja będąc egoistą, mówię to otwarcie. Przyznam się zresztą, że od pewnego czasu prześladuje mnie wiersz, „Pośrodku drogi naszego życia".

Zresztą poezja to nie tylko wiersz. To jest coś więcej. To podziemne źródło. A coś ze mnie weszło pod ziemię. I nie wiem jak długo tam będzie przebywać. Nie mogę teraz odróżnić spraw zasadniczych od przypadkowych. A to znak, że nadeszła rutyna. Zna ją każdy człowiek, choć nie każdy się przed nią broni w jednakowym stopniu. Znam ludzi, którzy przychodzą do pracy, kochają własne żony i dzieci, niekiedy robią tak zwany skok w bok, potem znowu przychodzą do pracy i oczekują pochwały od swych szefów. Bo kiedy szef krytykuje, to nie są regiony abstrakcji. Tak to chyba wygląda, kiedy ludzka maszyna miele jak młyn. Aż nagle zaczyna coś w niej gwizdać. Nie wiadomo dlaczego. Ale człowiek musi sobie zdać z tego sprawę.

— I ty poszukujesz tej nowej prawdy. Ale milczenie nie jest najbezpieczniejszym zajęciem dla poety, niekiedy czytelnik rozumie je opacznie. Czy nie obawiasz się tego rodzaju konfrontacji ze swymi czytelnikami?

— Rumuński czytelnik, który zna moją poezję, na pewno zrozumie, że od jednej książki do drugiej, które wydałem, próbowałem być innym. Nie w pogoni za nowością samą w sobie, ale dlatego, że i moje doświadczenie życiowe wymagało nowego wyrazu artystycznego.

— Ale odwołajmy się do początków, aby mógł cię lepiej poznać także polski czytelnik. Przychodzi taka chwila, kiedy człowiek uświadamia sobie, że jest poetą. Kiedy doznałeś olśnienia, że to się stało?

— Nawet teraz nie potrafię sobie uświadomić, że jestem poetą. A wszystko z całą pewnością zaczęło się nieświadomie. W szkole. Widocznie chciałem i ja coś zrobić, jak nasz wielki poeta epoki romantyzmu Vasile Alecsandri. Wtedy, a miałem dwanaście lat, wydawało mi się, że mogę pisać tak jak on. Było to szczere, choć bardzo naiwne, ale moi koledzy traktowali mnie poważnie. W każdej szkole spotyka się takich szkolnych albo tylko klasowych poetów. Byłem jednym z nich w miejscowości Paszkany niedaleko Jass. Pierwszym profesjonalnym artystą, który potraktował mnie poważnie, był Vasile Jonescu — Paszkań, profesor muzyki, który poprosił mnie o kilka wierszy do swoich melodii. Jest dziś zupełnie głuchy, skończył siedemdziesiąt pięć lat, słuch stracił dwadzieścia lat temu. Ale te piosenki przetrwały, są wykonywane do dziś. Potem napisałem wiersz, który został opublikowany w dzienniku „Cotidian" i jednocześnie w czasopiśmie, którym dzisiaj kieruję, a które wtedy nosiło nazwę „Iasul literari", bo dopiero w 1970 r. wróciło do tradycyjnej, a nawet historycznej nazwy „Convorbiri literare". I od tego czasu publikuję regularnie. Długie lata pisałem reportaże, choć zawsze byłem aktywny jako poeta.

Z własnego doświadczenia wiem, że takie połączenia są możliwe, choć chyba ograniczają poetę.

— Były to dwie możliwości wyrażania samego siebie i otaczającej mnie rzeczywistości. Ja zresztą przedkładam dobre-go publicystę nad kiepskiego poetę.

— A jak byś umiejscowił swoją twórczość na pokoleniowej mapie poetów rumuńskich?

— W czasie, gdy pisałem pierwsze utwory, rosły nowe pokolenia pisarzy. Poprzez nowy wyraz ekspresji i nowe treści objawił się wtedy Nicolae Labis. Był moim serdecznym przyjacielem z dzieciństwa. Od kilku lat krytyka w Rumunii mówi o „Pokoleniu Labisa". Dziwne, ale ja nie należę do tego pokolenia. Mój debiut książkowy był późniejszy

Zresztą pojęcie generacji w literaturze jest bardzo złożone. Oczywiście decydujące jest podobieństwo wieku i data debiutu. Tego rodzaju powiązania są dla pisarza bardzo ważne. Ale moim zdaniem możemy mówić o powstaniu nowej generacji tylko wtedy, kiedy warunki ekonomiczno-polityczne pozwalają na afirmację nowego ideału. W Rumunii zresztą moment taki nastąpił. Mam na myśli zwalczenie okresu dogmatyzmu, dzięki czemu nastąpiły fundamentalne zmiany w klimacie kulturalnym naszego kraju. Wyraziły się one przede wszystkim ponownym podbojem naszych literackich klasyków, przywróceniem tradycji. Prócz tego stworzone zostały możliwości potwierdzenia siebie przez każdego pisarza i identyfikacji własnej twórczości.

— Jaką rolę w tych doniosłych dla literatury rumuńskiej przemianach odegrały „Convorbiri literare" (Rozmowy literackie), których jesteś naczelnym redaktorem?

— W okresie tym nazywaliśmy się inaczej. „Convorbiri literare" zostały zakazane przez reżim faszystowski. W ich miejsce zaczęła się później ukazywać skromniejsza gazeta pod nazwą „Jassy Literackie". Do tradycyjnej nazwy mogliśmy wrócić dopiero w momencie dokonywania się przemian, które oddaliły epokę dogmatyzmu. A byliśmy pokoleniem, które chciało przede wszystkim kontynuować tradycję starych „Convorbiri" i jej przedstawicieli, którzy w roku 1863 stowarzyszyli się w Jassach w grupę „Junimea".

Nie można w tym wypadku oczywiście mówić o jakimś mechanicznym powrocie do tradycji. Raczej o kontynuacji ogólnych zasad naszych poprzedników, jeśli chodzi o afirmację i promowanie literatury.

— Czy uważasz, że właściwie wywiązaliście się ze swego zadania? W moim pytaniu nie zawiera się żadna ocena „Convorbiri", choć mam o nich wyrobione własne, nie najgorsze zdanie. Ale ze stołka redaktora naczelnego może to oczywiście wyglądać inaczej.

— Trudno mi o tym mówić, bo nie chcę, abyś uważał mnie za chwalcę, ale dzisiejsze „Convorbiri literare" uważa się za najlepsze czasopismo literackie Rumunii. Redakcji jest oczywiście przyjemnie wysłuchiwać tego rodzaju opinii, ale nie wpadamy w samozadowolenie. Wysoki autorytet na polu literatury zdobyliśmy sobie w ostatnim dziesięcioleciu poprzez poważny i głęboki ton krytyczny, a także poprzez wypromowanie twórców dobrze dzisiaj znanych czytelników w Rumunii. I nie tylko w niej. Tej linii afirmacji wypróbowanej w ogniu krytyki będziemy się trzymać.

— Myślę, że warto pomówić także o zespole redakcyjnym „Convorbiri literare", nawet gdyby nasza rozmowa miała w ten sposób odbiec nieco od prywatności. Kim są ludzie, którzy prezentują Rumunii co miesiąc najważniejsze dokonania literackie swego kraju?

— W „Convorbiri literare" pracuje zespół młodych krytyków i pisarzy. Wielu z nich opublikowało tomy esejów krytycznych i zbiory poezji. Znaczna część tych książek zyskała uznanie czytelników i nagrody literackie. Mamy też niezbyt liczny krąg współpracowników związanych z naszym czasopismem: historyków literatury, krytyków, poetów, prozaików, którzy mieszkają w różnych regionach Rumunii. Pamiętamy jednak zawsze, że o obliczu gazety decyduje nie ilość współpracowników, tylko ich jakość, rola, jaką odgrywają w literaturze.

— Trudno nie porozmawiać w naszej sytuacji o współpracy „Convorbiri" z „Odgłosami". Jak oceniasz wspólne kontakty?

— Współpraca została dopiero zapoczątkowana, ale początek jest dobry. Myślę, że głównym celem tej współpracy powinno być lepsze poznanie literatury polskiej w Rumunii i co mnie szczególnie cieszy, poznanie rzeczywistości rumuńskiej w twoim kraju. Było nam bardzo przyjemne czytać w „Odgłosach" serię obiektywnie napisanych reportaży, w których spostrzegliśmy rzetelne rozeznanie rzeczywistości rumuńskiej.

Musimy jednak szukać nowych form współpracy, głównie poprzez wymianę publikacji między „Odgłosami" i „Convorbiri literare".

— I jeszcze jedno konwencjonalne pytanie, na które spodziewam się niekonwencjonalnej odpowiedzi. Jakie są twoje najbliższe plany twórcze?

— Nie mogę mówić o planach, ponieważ twórczość nie jest przemysłem. Mogę mówić tylko o tym, nad czym pracuję. A jest to powieść zawierająca akcenty autobiograficzne, którą noszę w swojej pamięci już od dwudziestu sześciu lat. Tyle, jeśli chodzi o zamierzenia najbardziej osobiste. Po powrocie do Rumunii spodziewam się ukazania kolejnego almanachu „Convorbiri literare". Jednocześnie przymierzamy się w redakcji do wydania specjalnego suplementu adresowanego głównie do młodego czytelnika, którego trzeba zachęcić do odbioru współczesnej literatury. Tytuł tej publikacji będzie brzmiał prawdopodobnie „Dążenia", a poniżej będzie dodatkowa informacja:: „Suplement" „Convorbiri Literare".

— Dziękuję ci serdecznie za tę rozmowę.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

REPORTAŻE TADEUSZA GICGIERA

Ponad dziesięć lat temu Tadeusz Gicgier wydał interesujący tom reportaży pt. „Zaczęło się od legendy". W całości książka ta poświęcona była legendom i czasom współczesnym dawnej Ziemi Łódzkiej — mówiła o związkach znanych polskich pisarzy z tą ziemią. Już same tytuły poszczególnych reportaży lokalizowały miejsce akcji — „Skarb sulejowski", „Strachy zamku w Uniejowie", „Młoda pani z Bronowa", „Królewski bruk Inowłodza"...

Tadeusz Gicgier, wkrótce po ukazaniu się owej książki, będącej efektem jego reporterskich wędrówek po Ziemi Łódzkiej — opuszcza rodzinne miasto i przenosi się do Białegostoku, gdzie kieruje Redakcją Literacką tamtejszej Rozgłośni.

Minęły lata i Gicgier wraca na powrót do rodzinnej Łodzi, ale ze swej białostockiej — paroletniej eskapady, przywozi nowe fascynacje i nowe reportaże. Właśnie ukazały się one nakładem Wydawnictwa „Iskry" w dobrze redagowanej reporterskiej serii tej znanej oficyny.

Jest to zbiór tekstów niezwykle interesujących. Oczywiście nie ma — jak sądzę — potrzeby podnoszenia walorów Gicgiera, jako stylisty. U tego pisarza przewód myślowy zawsze był jasny i prosty, narracja znakomita, dowcip dyskretny i kulturalny. Zalety stylu Gicgiera mógł zresztą poznać czytelnik przy okazji jego książek i nie one decydują o niecodzienności książki „O człowieku, któremu wystarczał ogarek".

Otóż Tadeusz Gicgier odkrył nam nową, inną Białostocczyznę — inną, to znaczy różną od potocznych, sztampowych wyobrażeń przeciętnego Polaka. Myślę zresztą, że — z drugiej strony — tylko przybysz z centralnej Polski mógł spojrzeć na tę ziemię bez obciążeń lokalnych, mógł ją zobaczyć we właściwych proporcjach. A jednocześnie mógł tę ziemię zrozumieć tylko człowiek z takiego miasta jak Łódź, z miasta będącego również pograniczem językowym, kulturowym, religijnym i obyczajowym...

Myślę, że historyczno-demograficzny fenomen Łodzi sprawił, iż urodzony tu i wychowany, wrażliwy poeta i reporter potrafił tak szybko i bezbłędnie wejść w owe pogranicze Białostocczyzny. Zresztą Gicgier nie szukał tam taniej egzotyki — choć jej, rzecz prosta, nie lekceważy. Więcej nawet — jak sam wyznaje — owa egzotyka wielce go zafrapowała.

Tadeusz Gicgier, podobnie jak w wydanym przed laty tomie „Zaczęło się od legendy", szuka związków polskich pisarzy i ludzi kultury z Ziemią Białostocką. A związki te były i bardzo interesujące, i bardzo liczne, i... często mało znane. Wartość dokumentalna, poznawcza książki Gicgiera jest ogromna. Na jej walory dokumentacyjne warto zwrócić szczególną uwagę.

Związki z Ziemią Białostocką łączyły na przestrzeni dziejów nie byle kogo, bo Józefa Ignacego Kraszewskiego i Henryka Sienkiewicza, Marię Konopnicką i Elizę Orzeszkową, Zygmunta Glogera i Wincentego Lutosławskiego... A ze współczesnych naszym czasom: Marię Dąbrowską, Juliana Ejsmonda, Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego.

Powie ktoś — parę stronic historii literatury. Tak jest! Gicgier dopisuje do historii literatury urokliwe przyczynki — opowiadając jednocześnie o współczesności Białostocczyzny, o jej dniu dzisiejszym, przemieszanym z historią, o ludziach, którzy swoim działaniem i pasją pragną zmienić obiegowe wyobrażenia o prowincji zabitej deskami...

A równocześnie dostrzegamy ze wzruszeniem, że Tadeusz Gicgier, wędrując przez parę lat po Ziemi Białostockiej, wraca na kartach tych reportaży na Ziemię Łódzką, czy to przy okazji „Odysei Marii Dąbrowskiej", czy też przy okazji opowieści o Marii Konopnickiej. Takich „nawrotów lirycznych" jest na kartach tej książki sporo. Są one bardzo urokliwym dowodem na to, że nawet najpiękniejsze fascynacje wieku dojrzałego nie usuną nam z pamięci kraju lat dziecinnych. Zanim Tadeusz Gicgier wrócił do Łodzi na stałe — wracał do niej wielokrotnie wędrując białostocką równiną. I ten — liryczny i bardzo osobisty aspekt nowej książki Gicgiera dodaje jej szczególnego uroku, buduje jej klimat. Jest to zatem książka godna polecenia zarówno ze względu na ogromne wartości poznawcze, urodę stylu jak i szczególną, wzruszającą aurę liryczną.

JERZY WILMAŃSKI

Tadeusz Gicgier, „O człowieku, któremu wystarczał ogarek", Wyd. „Iskry", 1979.

NIE TYLKO O PSZCZOŁACH

Można traktować film **Rój Irvina Allena** jako absolutną bzdurę. Można zarzucić mu nieprawdopodobieństwo sytuacji (miliardowe chmary pszczół w ataku na Stany Zjednoczone), stereotypowość fabuły, schematyczność postaci. To wszystko prawda. Wahałbym się jednak przed skwitowaniem **Roju** w ten sposób. Jest bowiem faktem, że mamy do czynienia z istotnym problemem współczesnego kina, a nawet więcej: współczesnej kultury masowej. Film Allena włącza się bowiem w zjawisko światowej kinematografii, które tworzy osobny nurt. Te wszystkie **Płonące wieżowce, Trzęsienia ziemi, Tragedie Posejdona, Szczęki** i **Szczęki 2** rządzą się własnymi prawami zaspokajają masowe oczekiwania, mają wielomilionową publiczność, spełniają istotną funkcję oddziaływając na masową wyobraźnię.

Nurt katastroficzny w kinematografii jest produktem lat siedemdziesiątych kina amerykańskiego: rzecz charakterystyczna, że akcja większości z tych filmów rozgrywa się w realistycznie potraktowanym krajobrazie współczesnym. Zagrożenie które nie ominie ekranowych bohaterów, wynurza się prawie niepostrzeżenie z rzeczywistości zwyczajnej, sytej dobrobytem, pewnej własnej nienaruszalności. Na senne, plażowe tłumy czyha potworny rekin — ludojad, zarozumiałych bossów nowo otwartego biurowca zaskoczy z pozoru błaha awaria instalacji elektrycznej równająca się zagładzie, a rodzinną idyllę weekendową na skraju lasu przerwie straszliwa inwazja roju pszczół, która rozpocznie się niewinnymi zakusami na rozłożone na stoliku owoce. Budowanie napięcia w filmach serii katastroficznej odbywa się zawsze według nienaruszalnego wzorca, którego prekursorem był Hitchcock w „Ptakach". Jakkolwiek przyczyny zagrożenia mogą być różne, najczęściej są to **podstawowe żywioły, z natury i tradycji nieprzyjazne człowiekowi. Wyjątek stanowią bohaterki tytułowe Roju** — podopieczne mitycznego Arysteusza — zwierzęcia o magicznym rodowodzie, symbolizujące matriarchat i — poza miodem — produkujące poszukiwany ostatnio kit. Stopień rozwoju cywilizacyjnego, na jakim znajduje się człowiek, nie pomaga najczęściej w ujarzmieniu tych mocy. Bezsilni pozostają zadufani w swych możliwościach przedstawiciele władzy — mimo że dysponują rozlicznymi środkami techniki. Ludzkość okazuje się bezradna. Dopiero perfekcja działania, wiedza i — co najważniejsze — postawa moralna jakiejś bohaterskiej jednostki ochrania wyłęknione miliony przed totalnym wyniszczeniem (tak było w **Szczękach**, w **Płonącym wieżowcu**, podobnie jest w **Roju**).

Przy próbie odpowiedzi na pytania o genezę i funkcje nurtu katastroficznego w kulturze masowej trzeba — jak sądzę — zwrócić uwagę na kluczowe sceny we wszystkich tych filmach. Sceny najsilniej pozostające w pamięci: momentów kulminacyjnych, w których żywioł atakując plażowe lub miejskie tłumy, dziesiątkuje uciekających wywołując powszechną panikę. Płoną samochody i budynki, ludzie wyskakują z okien wybierając śmierć samobójczą w ucieczce przed zagrożeniem, które staje się wyrokiem wydanym na tysiące. Pociągi wypadają z szyn, zawalają się mosty, roztrzaskują się o ściany domów helikoptery, wybuchają zbiorniki paliwa i elektrownie. Chaos, śmierć, totalna zagłada. Sytuacje te porównać można z prawdopodobnym efektem, jaki niesie ze sobą współczesna wojna.

A przecież zdaniem francuskiego filozofa i socjologa — Rogera Caillois autora pracy **Wojna i sacrum** — wojna jest, w swych przejawach niszczycielskich paroksyzmem społeczeństwa współczesnego, odpowiednikiem święta w kulturach pierwotnych. Święto to okres, w którym dozwolone są wszelkie wykroczenia, gdyż właśnie od wykroczeń, marnotrawstwa, orgii i aktów gwałtu społeczeństwo oczekuje swej regeneracji. Wojna będąc przeciwstawieniem święta, jest zarazem jego dzisiejszym substytutem. O fakcie tym zadecydowały — zdaniem autora — cechy współczesnej cywilizacji: rozwój środków kontroli i nacisku, triumf ducha laickiego, coraz mniejsza swoboda jednostki w coraz bardziej skomplikowanym mechanizmie, jakim jest państwo. **Wojnę uważa się za katastrofę absurdalną i zbrodniczą** — pisze Caillois — (...) **przybiera charakter straszliwej klęski żywiołowej, siejącej zniszczenie; o ile rozum nadal ją potępia, serce darzy ją szacunkiem, jak wszelką moc, która pozostaje poza zasięgiem człowieka i przerasta go.**

Trudno mówić o przypadkowej zbieżności: to przecież podstawowa zasada wykorzystywana przez filmy katastroficzne. Mimo, że nie o wojnę w nich chodzi — istotne są właśnie obrazy zniszczenia, potęgi żywiołu — jakie bez żadnych ograniczeń znajdujemy w tych filmach. Uczestnicząc w ich seansach miliony ludzi na całym świecie przeżywają per procura te wszystkie wydarzenia, które stają się udziałem bohaterów **Roju** i **Trzęsienia ziemi**. I mimo, że po wyjściu z kina połowa z nich wyśmiewa naiwność tych nowoczesnych baśni, to w trakcie ich trwania poddaje się ich działaniu z aprobatą. **Wojna wywiera dziwny urok na religijną cząstkę duszy ludzkiej, która drży ze zgrozy i uniesienia, widząc, jak na wojnie moce śmierci i zniszczenia odnoszą nieuchronne zwycięstwo nad wszelkimi i innymi potęgami.** Kino katastroficzne — podobnie jak kino gwałtu i przemocy — jest wobec tych oczekiwań środkiem zastępczym — z jednej strony rozładowującym napięcie, z drugiej zaś kanalizującym je w kulturowo aprobowanej formie — bezpiecznej i kasowej. Filmy te spełniają więc wobec społeczeństw funkcję terapeutyczną.

Ryzykując taką motywację sukcesu omawianego nurtu, odpowiemy jednocześnie na pytanie o jego klęskę na ekranach polskich kin. Inna sytuacja ogólnospołeczna, inne oczekiwania i stosunkowo świeża pamięć prawdziwej zagłady czynią także **Rój** towarem pewexowskim. Tłumy walą natomiast na — jakże różną pod każdym względem — rodzimą produkcję sensacyjną pod tytułem **Wściekły.** W tym wypadku polecam egzotykę: tak samo marne, ale Bronisława Cieślaka i Romana Frankla mamy — w przeciwieństwie do obrazów totalnej zagłady — na co dzień w telewizji.

P. S. Obecność tłumu 6—7-latków na seansach **Roju** w Bałtyku dobrze świadczy o najmłodszych widzach, którzy — jak widać — nie chcą opierać swojej wiedzy o tych pożytecznych owadach wyłącznie na **Przygodach pszczółki Maji** (TV, godz. 19.00).

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

AUTORYTETY

W wydanych ostatnio „Szkicach Edynburskich" Krzysztof Teodor Toeplitz cytuje wypowiedź jednego z prezenterów BBC, który tak objaśnia swoją popularność wśród angielskich telewidzów: „Dla nich spiker zjawiający się w ich domach każdego wieczoru przez wiele lat z rzędu staje się czymś na kształt obdarzonego zaufaniem przyjaciela. Stale przynosi wiadomości i informacje, nawet jeśli nie wszystkie z nich są dobre. Jego wygląd i ubranie są schludne i nie narzucające się. Jest dyskretny i uśmiecha się, gdy mówi „dobranoc". Wypowiedź ta jest dla KTT pośród innych obserwacji, potwierdzeniem faktu, jak to akceptowana przez widzów postać prezentera, bądź komentatora, może stać się rodzajem autorytetu społecznego.

Należy zatem współczuć tym wszystkim, którzy spodziewając się spotkania z lubianymi przyjaciółmi, zostali zaskoczeni wizytą przypadkowych znajomych: to co miało być przyjemnością wieczoru, stało się żenującą wymianą spojrzeń.

Właśnie dlatego ostatnie wydanie „Studia-2" było takie jakie było, to znaczy nijakie. Bowiem zamiast Bożeny Walter, Edwarda Mikołajczyka i Tadeusza Sznuka („przybywa wolnych sobót, przybywa i prezenterów"), przyszło nam słuchać znanych skądinąd redaktorów Szulca i Pijanowskiego oraz ładniutkiej pani (nazwiska nie spamiętałem), która robiła wrażenie praktykantki z lekcji profesora Bardiniego. Ciekawym, jak długo ta praktyka potrwa.

Jeśli mowa o autorytetach w TvP, parę uwag z innej beczki. Otóż jest w telewizji kilka audycji, które te autorytety konstruują, upowszechniając jednocześnie (bardziej lub mniej świadomie), określone wzorce kulturowe i społeczne. Temat-rzeka, godny licznych książek. Na użytek felietonu chcę zwrócić uwagę na niektóre z owych audycji, bo jest ich przecież zastanawiająco wiele. Np. „Moje fascynacje" — cykl, w którym znane postaci ze świata kultury i sztuki zwierzają się ze swoich kulturowych urzeczeń. Oto np. „Filmowe pasje", w którym znane postaci... itd. „Bezludna wyspa" — program, również z udziałem znanych postaci, które „wybierając się" na dziewiczą wyspę, głosują jakież to arcydzieła wziąć ze sobą. „XYZ" — znane postaci odgadują nie znaną postać, która po piętnastu minutach okazuje się całkiem dobrze znaną postacią. Ponieważ, co wszyscy naocznie widzimy na małym ekranie, tych postaci jest ilość policzalna na palcach obu rąk, muszą one wypowiadać się na tematy tak różnorodne, iż sam Leonardo da Vinci, gdyby żył, osłupiałby z zadziwienia. W taki oto sposób telewizja sprawia, że prezentowana za jej pośrednictwem publicystyka kulturalna sprowadza się do banałów, uproszczeń, przesadnych opinii, kreowania wartości bez żadnych kryteriów, bądź do rozdmuchiwania sztucznych, polemicznych żartów. Przykładem dyskusja wokół dramaturgii Tadeusza Różewicza, na którego impetycznie napadł Artur Sandauer (też znana postać): „Walory Inscenizacyjne dramatów Różewicza? Ależ ja w to nie wierzę". Pewnie, jeśli się stoi przed koniecznością wypowiedzenia kilku pospiesznych zdań, gdzie czas na rozwagę. A potem trzeba być konsekwentnym. I „Pegaz" ma o czym mówić w trzech kolejnych programach.

Szkoda, że baron Münchhausen to osoba fikcyjna. Ten by zredukował poważnie ilość znanych postaci. Mógłby występować również w „Dobranocce". A autorytet? Przez częste pokazywanie się w telewizji przybyłoby mu i autorytetu.

GRZEGORZ GAZDA

Niezaprzeczalny sukces „Studia-2" od samego początku budowany jest na prostej i sprawdzonej zasadzie: wszystko co w ciągu kilkunastu godzin prezentowane bywa na małym ekranie, ma charakter autorski (tak jak się mówi o „kinie autorskim"). Choć wiadomo, iż program ten przygotowywany jest przez cały zespół redakcyjny, widz dobiera go jako blok audycji wyselekcjonowanych i uporządkowanych przez trójkę prowadzących prezenterów — Bożenę Walter, Edwarda Mikołajczyka i Tadeusza Sznuka. Cechą nadrzędną „Studia-2" jest naturalność bezpośredniość (program „na żywo", a nie z pudełka) i improwizacja. Dialogi między tą trójką, w niczym nie przypominają rozpisanych przez scenariusz wypowiedzi, tak irytujących w rozmaitych estradowych prezentacjach, gdzie każda z postaci wyuczywszy się swoich kwestii, wyklepie je z rutynowym uśmiechem i cofa się o pół kroku, aby dać miejsce współwystępującemu. I tak płyną te „dialogi na cztery nogi", aż ciarki chodzą po plecach (vide telewizyjny „Koncert życzeń").

Autorytet prowadzącej „Studio-2" trójki zasadza się i na tym, iż każde z nich specjalizuje się w określonych formułach, a i treściach, telewizyjnej wypowiedzi. Gdy zaistnieje potrzeba, odwołają się do autorytetu innych. Stąd w tym programie profesor Walery Pisarek, Bogusław Kaczyński, Grzegorz Woźniak, a także Jan Ciszewski („dopóki piłka w grze...") i Tomasz Hopfer. Ale i oni jednak, owładnięci atmosferą specyficznego esprit „Studia-2" podporządkowują się jego stylistyce, która jest nie do podrobienia. Wszak styl to człowiek.

KAT WYŁANIA SIĘ Z ZAPOMNIENIA

Niedzielny spektakl, nadany z telewizyjnego Studia Faktu, był próbą rekonstrukcji procesu oberkata, komendanta obozu w Oświęcimiu i Brzezince, Rudolfa Hoessa. Scenariusz Gassa i Trzaski, oparty był — jak nas zapewniono — wyłącznie na stenogramach i innych dokumentach procesowych. Autorzy nie dopisali od siebie ani jednego słowa, musieli natomiast dokonać ogromnej selekcji, gdyż rozprawa sądowa, która odbyła się przed Najwyższym Trybunałem Narodowym PRL, w marcu 1947 roku ciągnęła się przez kilka tygodni, a materiały procesowe obejmują wiele tomów.

Selekcja tworzywa jest w tak poważnej sprawie zadaniem niezwykle odpowiedzialnym, bowiem teksty włączone do scenariusza dwugodzinnego widowiska winny być możliwie najbardziej reprezentatywne dla rozprawy, przekonywające, a jednocześnie odtwarzające w skrócie cały jej przebieg. Autorzy uprościli przy tym do minimum momenty proceduralne, ową żmudną acz niezbędną młockę sądową, która obciążałaby spektakl i powodowała znużenie u widza. Jaki był wynik tych dramaturgicznych zabiegów, o tym niżej.

Historyczna strona procesu Rudolfa Hoessa może już być dla części widowni, zwłaszcza tej młodszej, nie całkiem jasna. Niejeden z telewidzów zastanawiał się może, jaki jest związek między katem oświęcimskim, a Rudolfem Hoessem, byłym zastępcą Hitlera jednym z głównych zbrodniarzy wojennych, skazanym przez Międzynarodowy Trybunał w Norymberdze na dożywocie i odsiadującym tę karę do dziś dnia w zachodnioberlińskim więzieniu Spandau. Otóż, poza imieniem i zbieżnością, choć nie identycznością nazwisk, nic tych dwóch ponurych indywiduów nie łączyło. Rudolf Hoess, skazany na śmierć przez Trybunał w Warszawie powieszony został w lipcu 1947 roku na miejscu swych zbrodni w Oświęcimiu. Podzielił los innych zbrodniarzy hitlerowskich, sądzonych przez trybunały polskie: Greisera Forstera Goetza.

Po wojnie ukazały się u nas drukiem pamiętniki Hoessa. Książkę tę znaleźć można w bibliotekach. Jest to wyjątkowo pouczający dokument, w którym sylwetka zbrodniarza maluje się plastycznie. On sam w sposób nieświadomy stał się swoim głównym oskarżycielem. Z kart książki wyłania się postać technokraty śmierci, dla którego wymordowanie trzech milionów ludzi sprowadzało się do problemów technologiczno-produkcyjnych. Zainteresowanym radziłbym sięgnąć do tej książki będącej najlepszym komentarzem do widowiska telewizyjnego „Proces Rudolfa Hoessa", zrealizowanego i emitowanego w związku z 35 rocznicą oswobodzenia obozu koncentracyjnego „Auschwitz-Birkenau".

Pora jednak na garść refleksji związanych z samym spektaklem. Intencje autorów i wykonawców są poza wszelką dyskusją. Nie ma chyba uczciwego i wrażliwego człowieka, któ-

ry nie aprobowałby ich w całej rozciągłości. Wątpliwości u niektórych z nas mógł budzić fakt pozornie nadmiernego cackania się ze zbrodniarzem, którego wina była od początku oczywista. Autorzy starali się jednak słusznie zaakcentować, że wyrok zapadł w majestacie prawa i że Trybunał nie skazał Hoessa za udział w globalnej masie zbrodni nazistowskich, ale za jego własne czyny zbrodnicze, za dobrowolne i świadome wprzęgnięcie się w ludobójczą machinę i za funkcjonowanie w niej z wyjątkową godliwością. Skazano i stracono człowieka-zbrodniarza, a nie żaden symbol zbrodni.

Poszukiwanie najwłaściwszej formuły artystycznej dla przekazu historycznych już treści było głównym zadaniem scenarzystów i reżysera, Ryszarda Bera. Zrealizować tego typu widowisko, zachowując obiektywizm w przedstawianiu faktów i uwzględniając potężny ładunek subiektywizmu w ich ocenie, jaki tkwi w każdym z widzów to zadanie równie trudne co pasjonujące. Punktem odniesienia dla oceny „Procesu Rudolfa Hoessa" jest dla mnie „Epilog norymberski" Jerzego Antczaka. To głośne widowisko telewizyjne, zrealizowane najpierw jako spektakl teatru Tv a następnie zarejestrowane metoda filmową, pozostaje wciąż niedoścignionym wzorcem.

Jeżeli miałbym porównywać i wartościować, to spektakl Bera wydaje mi się na tamtym tle co najwyżej poprawnym i rzetelnym. Zabrakło w nim klucza, który dopomógłby odpowiednio nasycić chłodną z natury procedurę sądową akcentami emocjonalnymi. Próbowali ten brak wyrównać aktorzy, zwłaszcza Pawłowski jako przewodniczący Trybunału i Machowski jako prokurator akcentując podtekst moralny i ledwie hamowane oburzenie, któremu prawnicy musieli wobec ujawnianych faktów ulegać, ale którym w postępowaniu sądowym nie mogli dać się powodować. Wydaje się jednak że scenariusz niedostatecznie uwzględniał tę stronę zagadnienia.

Osobno parę słów o postaci oskarżonego, przedstawionej sugestywnie przez Kuźnara. Gdybyż w scenariuszu więcej było scen, jak ten świetny moment pochłaniania przez Hoessa obiadu! Może wówczas osobowość jego wystąpiłaby pełniej. Materiał zawarty w scenariuszu służył raczej do jednostronnego przedstawienia tej postaci.

Krytyczne sądy o widowisku są raczej wyrazem wysokich wymagań jakie chciałoby się stawiać tego rodzaju programom. Nie ujmują wartości temu pożytecznemu spektaklowi.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

NIE MA MOCNYCH

O tym, że w miłości nie ma mocnych, mówi komedia, którą przedstawił na swojej scenie Teatr Muzyczny. Prawda to zresztą powszechnie znana, nie będę więc rozwijać sygnalizowanego w tytule, bardzo skądinąd frapującego tematu. Nie mogę jednak oprzeć się chęci rozważań na szerszy nieco, a też już wielokrotnie podnoszony, także i przeze mnie na tych łamach, problem — są mocni czy ich nie ma we współczesnym, polskim teatrze muzycznym? Kwestia repertuaru dla jego sceny nadal pozostaje sprawą palącą i aż dziw bierze, że od wielu już lat ciągle nie rusza ona z martwego zaiste punktu. Wysiłki, poszukiwania i inicjatywy kierowników artystycznych tych scen wciąż nie przynoszą oczekiwanych rezultatów, a prezentowane premiery nie spełniają naszych marzeń o dobrej, ambitnej rozrywce, komediach muzycznych z prawdziwego zdarzenia, melodiach, które stałyby się przebojami itd., itp.

Muzyczne sceny odnotowują realizowane na swych deskach prapremiery nowych polskich pozycji z wielką satysfakcją, ta ostatnia jednak wydaje mi się nieraz przesadna, zwłaszcza, jeśli w praktyce przychodzi nam odnieść ją do jakości prezentowanych utworów. Z braku własnego repertuaru sięgamy po dzieła obce, poddajemy je rozmaitym przeróbkom, do sztuk granych onegdaj na dalekich scenach polscy kompozytorzy dopisują muzykę, autorzy dokonują przekładów i piszą piosenki, ale wychodzi z tej mnogości zabiegów i starań niewiele, ujawnia się za to naszych twórców wielka w tej materii nieumiejętność, za której winę — zgódźmy się z tym dla świętego spokoju — ponosi głównie brak doświadczeń i własnych tradycji tego gatunku.

W miłości nie ma mocnych wydaje się być przykładem najlepiej unaoczniającym tę kwestię. Rzecz jest komedią muzyczną powstałą wg sztuki *Buonanotte Patrizia* Aldo de Benedettiego. Przekładu i adaptacji dokonała Zofia Ernstowa, teksty piosenek wyszły spod pióra Jana Brzechwy, a muzykę skomponował Wiesław Machan. Autor noty zamieszczonej w programie zapewnia nas, iż komedia *Dobranoc Patrycjo* przyniosła jej twórcy największy sukces, że grano ją na wielu scenach, że sypały się laury. Sukces komedii Benedettiego wydaje się być (w tej nocie) oczywisty gdyż *jego komediopisarstwo łączy wartości tak cenionego na świecie włoskiego scenariusza filmowego z błyskotliwą pełną wirtuozerii techniką komediopisarzy francuskich.* I znów — być może. Z tego samego artykułu w programie dowiadujemy się także, że utwory tego autora są *pełne niespodziewianych i nieoczekiwanych, a jednocześnie umotywowanych rozwiązań*, że cechuje je *niewyczerpana wspomniana pomysłowość, swoboda zwartego i potoczystego dialogu, subtelne poczucie humoru.* Być może — po raz trzeci... Nie śmiem kwestionować cytowanych opinii, ale wolno mi, jak sądzę poddać je w niejaką wątpliwość. Utworowi przedstawionemu nam na scenie Teatru Muzycznego brakuje wymienionych wyżej zalet. Trudno jednak odnieść ten zarzut do autora oryginału, bowiem jak z programu wynika, dzieło jego poddano adaptacji, mamy więc do czynienia z rzeczą w stosunku do oryginału zmienioną i oceniać wypada to co zostało nam przedstawione. Zobaczyliśmy zatem błahą komedyjkę, po której ledwie znać ambicję uniesienia poważniejszego nieco problemu, aczkolwiek i w tej próbie nie został on podniesiony tak, by trzeba go było unosić. Zobaczyliśmy tę komedyjkę ubraną w średniej jakości szatę muzyczną, gdzie mało doprawdy melodyjne piosenki rozbrzmiewają w rytmach, które dziś wydają się trącić myszką bardziej niż melodie wiedeńskich operetek. *W miłości nie ma mocnych* to rzecz o miłostkach pięknej pani ministrowej (rodem z obcego kraju, oczywiście), która skonstatowawszy nagle nicość moralną swego męża i kochanka, oddaje serce ubogiemu, ale sympatycznemu chłopcu, nie widząc żadnych przeszkód w tym, że ów młodzian robi w międzyczasie dosyć oszałamiającą karierę dzięki rzekomym wpływom swej wybranki. Dowcip słowny i sytuacyjny tej historyjki wydał mi się dość wątły, choć ten drugi postawiłabym jednak o kilka stopni wyżej, co jest pewnie także, a może nawet przede wszystkim zasługą reżysera (Aleksander Długosz) i aktorów. Literacka strona piosenek mimo, że napisał je sam Jan Brzechwa, też budzić dziś może spory sprzeciw. No cóż, nawet mistrzowi może czasem coś nie wyjść. Wszystko to jest oczywiście kwestią indywidualnych odczuć i gustów, przeto i moja na temat tej komedii opinia wzbudzić może kontrowersję i wątpliwości tych zwłaszcza widzów, którzy w czasie oglądanego przeze mnie spektaklu bawili się dobrze. Chciałabym tylko i wszystkim następnym widzom najmłodszego dziecka Teatru Muzycznego zwrócić uwagę, ile w ostatecznym kształcie tego jednak dosyć zabawnego widowiska jest zasługi jego twórców i wykonawców. Oni to bowiem temu dziełku, o niewielkiej moim zdaniem wartości przydali odrobiny rumieńców życia, choć — najchętniej chwaląc — tym razem nie znajduję niestety zbyt wielu pretekstów do komplemetów pod ich adresem. I tak: Aleksander Długosz, zdaje się wizją szlachetności rysunku dramaturgicznego wiedziony, oszczędnie i z umiarem starał się rozłożyć najważniejsze akcenty widowiska, ale kilka rozwiązań sytuacyjnych powtarza się zbyt często, by widz nie poczuł się nimi znużony. Podobnie zresztą ma się rzecz z aktorską stroną tego przedstawienia. Wykonawców głównych ról, Elżbietę Ptak-Araszkiewicz i Adama Koziołka widziałam już w lepszej formie, także i wokalnej. Poprawnie wywiązali się ze swych zadań tworząc barwne, soczyste postacie kreowanych bohaterów Czesław Jarosiewicz, Małgorzata Wilk i Arletta Włodarczyk. Mniej podobał mi się Jerzy Nejman w roli ministra. Miłą niespodziankę sprawił natomiast Zbigniew Bobowski, kreujący tym razem rolę niewielką, ale bardzo wyrazistą i gorąco przyjmowaną przez publiczność. Zupełnie nie zachwyciła mnie strona muzyczna widowiska. Brzmienie orkiestry, a tym razem także i jej prowadzenie przez Zbigniewa Pawelca pozostawiało niestety dużo do życzenia. Funkcjonalną i bardzo przy tym ładną scenografię zaprojektowała Anna Bobrowska-Ekiert. Spektakl ma więc dobrą oprawę plastyczną, z jej subtelnym smakiem nie idzie niestety w parze większość kostiumów sprawiająca chwilami wrażenie wręcz niegustownych. Autorką ciekawych układów choreograficznych jest Janina Niesobska. Jej też zawdzięczać należy roztańczenie grupy aktorów. Kierownictwo chóru sprawował Roman Paniuta.

W miłości nie ma mocnych. A w teatrze? Trzeba popracować nad formą, może będą.

EWA PANKIEWICZ

ZDARZENIA I ŻWIERZENIA

CO Z TARGAMI ESTRADOWYMI?

Przez kilka lat mieliśmy w Łodzi wielkie estradowe forum pod komercyjną nazwą „Łódzkich Targów Estradowych". Trudno mi powiedzieć, czy na tych imprezach rzeczywiście handlowano rozrywką, czy była to tylko — potrzebna z pewnością — konfrontacja i prezentacja stanu polskiej estrady. Fakt, że co roku, w ciągu paru dni łodzianie mieli do wyboru dziesiątki najróżniejszych programów rozrywkowych, kilkunastu polskich przedsiębiorstw estradowych.

Targi Estradowe powoli stawały się łódzką tradycją. Z upływem lat dopracowywano i wzbogacano koncepcję imprezy... Budziła ona zainteresowanie ludzi pracujących „w rozrywce", budziła ona żywe — i często polemiczne — zainteresowanie dziennikarzy. Na IV Targach obecni byli także ci, którzy bezpośrednio kształtują gusty odbiorców poprzez dobór odpowiednich programów — a mianowicie zaproszono ponad stu obserwatorów z wydziałów kultury, domów kultury, gminnych ośrodków kultury, działaczy kulturalno-oświatowych ze związków zawodowych.

Koncepcja Targów Estradowych zaczęła się powoli klarować — sama impreza wchodziła powoli w krąg łódzkich tradycji kulturalnych... Wiem oczywiście, że wiele osób wzruszy ramionami i powie, że to za wielkie słowa przy okazji tej „małej kultury". Być może estrada nie zawsze bywa sztuką przez wielkie „S", ale być nią może, często bywa i Targi Estradowe m.in. prowadziły polską rozrywkę do celu, który się nazywa Sztuka.

Pytanie — „czy doprowadziły?". Nie wiadomo, ponieważ pewnego roku, jak nożem uciął skończyły się targi i skończyły estradowe konfrontacje.

Szkoda tej imprezy, bo była to potężna porcja rozrywki dla kilkudziesięciu tysięcy łódzkich widzów. Szkoda tej imprezy, bo — niezależnie od subiektywnych ocen — była ona zawsze wyznacznikiem określonej rangi miasta, które taki organizacyjny trud było w stanie podjąć. Szkoda tej imprezy, bo...

Co roku przyjeżdżało do Łodzi około tysiąca wykonawców — nieraz bardzo wysokiej rangi. Co roku prezentowano w ciągu paru dni ponad 60 programów — od poezji i kabaretu — po rewię. Co roku z okazji targów ponad stu dziennikarzy (także zagranicznych) odwiedzało nasze miasto, mogąc konfrontować swoje wyobrażenia o „szarej Łodzi" z realną rzeczywistością.

A jednak targi były komuś solą w oku.

Po I Targach organizatorzy mieli 8-miesięczną kontrolę Wydziału Przestępstw Gospodarczych oraz 2-miesięczną kontrolę Wydziału Finansowego. Obie zakończyły się dla organizatorów pozytywnie.

Po II Targach — organizatorzy mieli 6-miesięczną kontrolę Okręgowego Zarządu Dochodów Państwa i Kontroli Finansowej. Wynik — pozytywny.

Po III Targach oraz w trakcie IV Targów — organizatorzy mieli kontrolę Naczelnej Izby Kontroli a dyrektor Estrady sprawę przed kolegium karno-orzekającym za rozlepianie plakatów o targowych imprezach...

Przypadek? Oczywiście — są to wszystko przypadkowe zbiegi okoliczności. Nie śmiem twierdzić, że jest inaczej, ale... Przypadkowo też skończyła się w Łodzi bardzo obiecująca doroczna impreza rozrywkowa.

WIDOK

PROPOZYCJE

W DRUGĄ STRONĘ

Niedawno mój znajomy doniósł mi, że w szpitalu, gdzie leży jego siostra, zimą wymienia się okna. Mróz był wtedy od 12 do 15 stopni Celsjusza. Chorych przewozi się do innego pokoju, aby móc wymienić okna. Szpital jest stary. Ciasno tam. Chorzy narzekają. A w ogóle to skandal, aby coś takiego robić w styczniu. Istotnie skandal. I głupota poza tym.

Sięgnąłem sobie do statystyki, aby zobaczyć, jak my wyglądamy ze szpitalami na tle kraju. Z praktyki wiadomo, że nadmiarem miejsc nie dysponujemy. Mój dobry znajomy, któremu grozi poważna operacja, ma zgłosić się gdzieś za dwa tygodnie, aby dowiedzieć się, czy i kiedy będzie wolne łóżko. Nikt mu nie obiecał, że jak się zgłosi, to wolne łóżko będzie na niego czekało. Może będzie, może nie. Może okaże się, że ktoś bardziej potrzebuje szpitalnego leczenia. A przecież nie on jeden czeka na wolne łóżko w szpitalu. W niektórych szpitalach łóżka stoją na korytarzu. Sale są na ogół zagęszczone do maksimum.

A co mówi na to statystyka? Mówi ona, że największa ilość szpitali i łóżek w szpitalach posiada województwo katowickie: 84 szpitale i 26.741 łóżek. Drugie miejsce zajmuje województwo stołeczne: 46 szpitali i 17.399 łóżek. Dalej statystyczny obraz ilości szpitali i łóżek nieco się zamazuje, bowiem na trzecim miejscu powinno być województwo opolskie z 32 szpitalami, ale łóżek jest tam tylko 6.205, natomiast we Wrocławiu, gdzie jest 26 szpitali jest 8.160 łóżek. W krakowskim jest tylko 15 szpitali, ale mają one za to 6.800 łóżek. W łódzkim są natomiast 24 szpitale, ale tylko 7.241 łóżek. Niektóre z tych szpitali już się sypią. Inna rzecz, że buduje się szpital w Pabianicach i klinikę AM w Łodzi. Ale to zmieni nieco sytuację dopiero w przyszłości.

Jestem głęboko przekonany, że odpowiednie władze, kierujące pracą służby zdrowia w Łódzkiem, doskonale znają te dane i jeszcze inne, do których mnie byłoby trudno dostać się. Znają sytuację szpitali w Łódzkiem z autopsji, chyba je przecież odwiedzają. Dlatego nie mogę zrozumieć, w jaki sposób Zespół Opieki Zdrowotnej Łódź-Bałuty zgodził się, aby w szpitalu ortopedyczno-urazowym im. dr Radlińskiego przy ul. Drewnowskiej 75 (swoją drogą, jak ten dr Radliński miał na imię, nigdzie się nie mogłem dowiedzieć), w styczniu 1980 roku dokonywano wymiany okien. Nie mogę tego zrozumieć, myśląc logicznie, wychodząc z założenia, że szpital jest po to, żeby leczono tam ludzi i dlatego dobro pacjenta należy stawiać na pierwszym miejscu.

Wszystko staje się zrozumiałe, jeśli podejdziemy do tego od drugiej strony, a mianowicie od strony formalnej. Zaplanowano remont, to jest wymianę okien? Zaplanowano. Okna przywieziono wraz z futrynami? Przywieziono. Wiosną 1979 roku zresztą. Leżały niemal cały rok? Leżały. Trzeba je było wreszcie wstawić do muru? Trzeba. No i jakiś urzędnik od służby zdrowia podjął decyzję. Akurat w styczniu 1980 roku znalazła się brygada, która ma trochę wolnego, bo to przecież nie pora na remonty. Wynajęli brygadę. Niech robi. Musi być bowiem zrobione. Byle w sprawozdaniu było napisane, że okna zostały wymienione, bo tak zaplanowano. Furda pacjenci.

W tymże szpitalu przez półtora roku remontowano windę. Pacjentów z połamanymi kośćmi noszono po piętrach wąskimi schodami. Trudno mi jest zrozumieć, co to za skomplikowana aparatura ta winda, że trzeba ją reperować przez półtora roku. Prawdopodobnie dlatego, że w portfelu remontów służba zdrowia znajduje się na szarym końcu i wysyła się tam do remontów nic nie umiejących „fachowców".

Jeżeli już trzeba remontować zimą, bo wiosną — jak napisał „Głos Robotniczy" — ZOZ Bałuty nie mógł dostać wykonawcy do wymiany okien, to może w tym czasie lepiej byłoby remontować niektóre biura i urzędy. Może to by z korzyścią wpłynęło na tok urzędowania, jeśliby urzędnicy dostali kilka dni przerwy, odpoczęliby, a później z werwą i zapałem wzięli się do pracy.

Narzekał ktoś niedawno, że dziennikarze tylko krytykują i biadolą, inny znów narzekał, że jesteśmy zbyt łagodni, wyrozumiali. Jak tu można być łagodnym i wyrozumiałym, kiedy widzi się, jak służba zdrowia zamiast mieć na uwadze dobro pacjenta, troszczy się głównie, aby w sprawozdaniu wszystko się zgadzało. Byłbym nieuczciwy, gdybym nie napisał, że nie tędy droga.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

KLEJENIE GŁÓWEK

Pamiętam jeszcze, jak po podwórzach i ulicach warszawskich chodzili domokrążni „specjaliści" i zachwalali wrzaskiem swe usługi: garki lutowaać!!

W każdej rodzinie kobiety miały nie kończące się zajęcia z cerowaniem skarpetek, naprawą bielizny i pościeli. Umiejętność cerowania należała do podstawowego wykształcenia dziewczyny, była potrzebna zawsze, o wiele bardziej niż umiejętność czytania i pisania.

W co drugiej kamienicy gnieździł się szewc łaciarz, klepiący skórę na zelówki od wczesnego rana do zmroku. Od tej szewskiej czynności wzięło swój początek powiedzenie: klepać biedę. Szewcy klepali biedę, ale naprawiali buciki także bardzo wytwornych dam i panów.

Dziewięćdziesiąt procent krawców nigdy nie uszyło nowego garnituru. Ich misja życiowa, ich zawodowa kariera, to było nicowanie i łatanie. W klapie marynarki nie robiło się dziurek, nie cięło się górnej kieszonki, żeby nie uniemożliwić w przyszłości przenicowania garnituru, czyli odwrócenia go na drugą stronę. Nikt się nie przejmował marynarką, zapiętą z prawej strony na lewą. Mogła to być nawet wieczorowa alpaka eleganckiego dżentelmena.

Potłuczone kubeczki i talerze — nawet te najtańsze, z fajansu i porcelitu — nosiło się do sklejenia. W małym drewniaku na Dobrej funkcjonował też warsztat naprawy lalek dziecięcych, pajaców, grzechotek.

Dzisiaj nikt niczego nie naprawia. Czy widział ktoś garnek z wtopioną na miejsce dziury plombą? Czy wasze żony i matki ślęczą godzinami nad cerowaniem skarpet, czy widzieliście kiedy drewniane, puste w środku jabłko, które się w taką skarpetkę wkładało żeby ją rozciągnąć, napiąć miejsce uszkodzone?

Nikt nie zeluje butów, bo gumowe i z różnych tworzyw podeszwy nie ścierają się w ogóle. Całe buciki rozlatują się po dwóch miesiącach i mimo nietkniętej podeszwy i tak trzeba je wyrzucić.

Wyrzuca się podniszczone ubranie — już nawet punkty „artystycznego" cerowania łokci splajtowały i zniknęły z naszych ulic, nie mówiąc o nicowaniu, łataniu i przeróbkach.

Pęknięte naczynia idą natychmiast na śmietnik — z wyjątkiem barów mlecznych, gdzie z kolei nie uwidzisz naczynia, któremu by nic nie brakowało. Lalki ze sklejoną główką żadne dziecko nie weźmie do ręki, a grzechotki w ogóle wyszły z obiegu odkąd telewizja i radio grzechocą i tak bez przerwy.

Niczego się nie naprawia, bo się nie opłaci. Gospodynie domowe nawet nie próbują się zastanowić nad tym, jaki ogrom czasu zaoszczędziły nie cerując, nie szorując garnków (bo na kuchenkach gazowych i elektrycznych się nie smolą, a zresztą to są emaliowane garnki, o ileż łatwiejsze do oczyszczenia od żelaznych niegdysiejszych saganów), nie paląc w piecach (z cugiem były wieczne zmartwienia, bo albo był — to źle, albo nie było — to jeszcze gorzej), nie „oprawiając" knotów przy naftowych lampach, które również świetnie pamiętam, bo stanowiły oświetlenie mojego domu. Zaoszczędziły ogrom czasu, mężczyźni analogicznie też. I wciąż nikt na nic nie ma czasu, jeszcze bardziej niż kiedyś. Może właśnie dlatego, że wciąż potrzeba mnóstwa rzeczy nowych, ciągle nowych, ciągle więcej, choć stare wcale się nie zużyły. Ktoś te nowości, tę lawinę rzeczy musi wyprodukować, a więc zająć się ich wytworzeniem. A jak się zajmie — to oczywiście czasu nie ma. Kółeczko się zamyka.

— Ta szafa stoi już u ciebie ze dwadzieścia lat — mówi mi z przyganą przyjaciel. A stoi. Nie dwadzieścia, tylko trzydzieści. Wygląda jak nowa i służy bez zarzutu. Gdybym kupił nową — od razu ściany nie pasowałyby do drzwi, a okleina od razu by spuchła i odlazła. Niech lepiej stoi tamta. Za to — za zaoszczędzone pieniądze — może uda mi się jeszcze raz wyskoczyć gdzieś w świat?

ĆWIEK

1/3 mini magazynek

PISANE W EUFORII

„Byliśmy pełni podziwu dla tego kierowcy, który prawidłowo sygnalizując wszelkie zmiany pasa ruchu, wyprzedzania czy skrętu, znakomicie prowadził wypełniony po brzegi przędzą ciężki samochód" — pisze (ms) w „Dzienniku Popularnym" o kierowcy, który otrzymał mandat zaufania.

Hm... Cieszy nas bardzo, że jeszcze jeden kierowca otrzymał mandat zaufania, który oznacza, że ktoś porządnie jeździ — sensownie, z wyczuciem i w zgodzie z przepisami. Ale żeby aż podziw? Kiepskim kierowcą musi być ms...

M. ANDAT

WZIĄŁ UDZIAŁ I ZGINĄŁ

Nie jestem wprawdzie kierowcą, ale słucham od czasu do czasu audycji dla kierowców. Można się z niej dowiedzieć, gdzie pada śnieg, gdzie drogi są oblodzone, gdzie mgły i wichry. Mało mnie to w końcu obchodzi, bo w podróż się nie wybieram, ale wiedzieć zawsze jest dobrze.

Czasem w takiej audycji udaje mi się usłyszeć o kimś kto „wziął udział w wypadku samochodowym". Słucham i uszom nie wierzę. Udział w czymkolwiek bierze się na ogół z własnej woli. Wątpię, aby ktoś z własnej woli brał udział w wypadku. Wypadki na ogół zdarzają się niezależnie od tego, z czyjej winy są spowodowane.

Przyznacie, że makabrycznie to brzmi: „wziął udział w wypadku i zginął". I w dodatku nie po polsku.

ZYG.

Rys. Edward Bogdański

NA NASZEJ GIEŁDZIE

Dla kanibali

ŁPN „Centrala Nasienna" w Piotrkowie Trybunalskim informuje wszystkich za pośrednictwem „Tygodnika Piotrkowskiego", że skupuje po następujących cenach:

— „kończyna biała — I kl. — 14 600 zł
— kończyna czerwona — I kl. — 8 100 zł"

Czyżby na eksport dla kanibali? Tylko skąd brać kończyny czerwone?

N.N.

Umywanie rąk

Minister handlu zabronił sprzedawać mydło marki „Parys" ze Stargardu Szczecińskiego, bo jest złej jakości. Telewizja przedstawiła różne opinie na ten temat. Nas zainteresowało jedno stwierdzenie: — Jak handel tego nie chce — powiedział dyrektor fabryki — to oddamy mydło „na zaopatrzenie zakładów pracy". Jest w tym dziwna logika. Jak już nikt nie kupi bubla, to można jeszcze sprzedać je ludziom pracy za pośrednictwem ich zakładu. Wtedy bubel nie jest bublem, a plan obrotów i tak zostanie wykonany.

A poza wszystkim, to dlaczego ja, jako osoba prywatna nie mogę myć się mydłem „Parys", a jako członek załogi — mogę? Czy wtedy jestem gorszy? A może pieniądze państwowe są gorsze?

CZ. YŚCIOCH

Telewizyjne jabłka

W sobotę (26 stycznia 1980 roku) w „Studio 2" — w nowej zresztą obsadzie — pokazano na stole pięknie opakowane jabłka. Profesor Szczepan Pieniążek przyznał, że kilka lat temu, nawet w telewizji się można byłoby pokazać tak pięknych i tak pięknie opakowanych jabłek.

A gdyby jeszcze takie jabłka, tak opakowane, można było spotkać nie tylko w kolorowej telewizji, ale i w sklepach, radość nasza nie miałaby granic.

N.N.

Gęsi pod przymusem

Tomaszowskie Zakłady Drobiarskie w Tomaszowie Mazowieckim zawiadamiają, że od 1 marca 1980 roku przyjmują zapisy na „CHÓW GĘSI OPŁACALNY". Gdyby ktoś chciał chodować gęsi nieopłacalne, musi sam wysledzieć jajka.

N.N.

Majsterkowiczom

Gdańskie Zakłady Rafineryjne dbają o majsterkowiczów sprzedając olej silnikowy „Selectol Special" w metalowych puszkach. Aby olej taki wlać np. do silnika Fiata 126p, nie wystarczy wywiercić w puszce otwory. Olej ten trzeba przelać do innego naczynia, które zmieści się między otwór wlewowy a karoserię, puszki bowiem nie wciśnie się tam nawet przy pomocy młotka.

Przedziurawione i opróżnione puszki (metalowe) można potem używać w różnych celach. Np. przywiązując na sznurku do tylnego zderzaka, można głosić hałasem chwałę pomysłowi GZR.

K.

ZE ŚWIATA

ROMANS CHURCHILLA

„Dziennik Popularny" ujawnił że Winston Churchill, wnuk „tego" Churchilla, żonaty, dzieciaty, ma ponadto romans z niejaką Sorayą Khassoggi. Purytańska (jak się później okazało — nieliczna) część Izby Gmin, chciała go pozbawić z tego powodu mandatu posła. Zdecydowana większość wzięła jednak Winstona-wnuka w obronę, oświadczając, że gdyby do kryteriów zasiadania w Izbie należała wierność małżeńska, ciągle trzeba by przeprowadzać wybory uzupełniające.

LOT PO SZCZĘŚCIE

W West Haven, Connecticut, USA, młoda para spadła z balkonu VI piętra, gdzie pozowała do ślubnej fotografii. Z pierwszego małżeńskiego lotu wyszli młodzi małżonkowie z niewielkimi obrażeniami. To ci dopiero start po szczęście!

PRZEZ PROTEKCJĘ

GALERIA P.Ł. ZAPRASZA NA: WYSTAWĘ RYSUNKU SATYRYCZNEGO JANA ZIELIŃSKIEGO
VIII D.S. UL. ŚWIERCZEWSKIEGO 40/42

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa Książka Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: ul. A. Mickiewicza 11 kod pocst. 90-438. Telefony 652-44 sekretariat i red. naczelny 680-99 677-70 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł kwart 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Prasowe Zakłady Graf. RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 126. G-12.